№ 28. Warszawa, dnia 1 (13) Lipca 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we OWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. iejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Od Redakcyi.

Z dniem 8 Lipca r. b. **Redakcya Tygoika Mód i Powieści, Przyjaciela ieci, Tygodnika Rolniczego** oraz **ukarnia E. Skiwskiego,** przeniesio- zostały na ulicę **Chmielną N. 1530 owy 20).**

PRZESILENIE.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH

przez Oktawa **Feuillet'a.**

przełożona z francuzkiego

przez Franciszkę Majewską.

(Dalszy ciąg).

SCENA II.

Dessoles, Julia, De Marsan.

ulia (podbiega ażeby podać rękę swemu mężowi, ry przechodzi przez baryerę i powiada mu śmiejąc się). się na mnie gniewasz?... Powiedz otwarcie atychmiast powracam?...

De Marsan. Gniewać się na ciebie, a to dla czego? I owszem, bardzom z tego zadowolony! Dzień dobry kochany doktorze (podają sobie ręce).

Julia (podchodząc ku lewej stronie). Zadowolniony! nie jesteś tak nigdy jak drudzy bywają?...

De Marsan (wesoło). Najpierw z tego iż znalazłaś sobie rozrywkę... podług gustu, a następnie iż moja żona posiada tyle wdzięku, iż jednem skinieniem mogła porwać najznakomitszego doktora w całym Paryżu.

Julia. Prawdę powiedziawszy, nie wiem — które z nas którego porwało?... Co pan o tem myślisz panie Piotrze?

Dessoles. Ja sądzę że to pani mnie porwałaś; gdyż nie byłbym pani przyprowadzał do mieszkania męża.

Julia (patrząc mu w oczy badawczo). O! widzę iż pan jesteś człowiekiem któremu nie mogłabym zaufać, gdybym była na miejscu mego męża.

De Marsan. W każdym razie jest z niego znakomity lekarz, gdyż odrazu nabyłaś rumieńców zdradzających wyśmienite zdrowie.

Julia. No tak... lecz z tem wszystkiem zasnęłam rozmawiając z tą znakomicie uczoną osobą... Ah!... Lecz pójść muszę na spotkanie mojej Justyny..... którą zdaleka spostrzegam... Żegnam panów!.... (wychodzi z lewej strony, za nią Justyna niosąc pudła ze strojami).

SCENA III.

Dessoles (siedząc na baryerze, De Marsan zacierając ręce siada obok niego). Cóż więc szlachetny rywalu, zasnęła w twej obecności, hm!... nie musi to być bardzo przyjemne dla ciebie, lecz mnie za to robi to wielką przyjemność.

Dessoles. A więc ciebie usypiają mój prezesie?

De Marsan. No tak, tak, lecz powiedz mi.... o czemże tam... tak mówiliście?...

Dessoles. O niczem, gdyż spała.

De Marsan. Lecz sądzę iż nie cały czas?...

Dessoles. Ależ ciągle.

De Marsan. Piotrze! proszę cię, nie rób sobie igraszki z mojego cierpienia, które obiecałeś złagodzić. Czy spała? Tak... czy nie?

Dessoles (idąc ku scenie). Ani chwili...

De Marsan (zasępiony). A tak! Lecz teraz pytam się czyś zbadał stan moralny Julii. Przypuszczenia nasze są uzasadnione czy nie?

Dessoles. Tak, najzupełniej.

De Marsan. O! do czarta!... A więc jeżeli ten nastrój moralny istnieje... to jest wyraźnie usposobienie do szukania uczucia... czyś dał jej poznać — iż je znalazła w tobie?

Dessoles. Starałem się... i to... całemi siłami.

De Marsan. Starałeś się o nieszczęśliwy! Więc mi nie pozostaje jak ci powiedzieć iż przestąpiłeś warunki znajdujące się w trzecim artykule naszej umowy?

Dessoles. Jakiż to trzeci warunek?...

De Marsan. Niegodziwy człowieku!... jużeś zapomniał...

Dessoles. Ależ nie, bynajmniej... jest to warunek w którym zobowiązałem się przestrzedz cię w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa. Słuchaj de Marsan,.. najlepiejby było, mówiąc między nami... wymazać ten warunek gdyż jest bezsensowny.

De Marsan. Może być iż bezsensowny, lecz ja go nie cofam.

Dessoles. Pomyśl tylko mój przyjacielu, iż u kobiet wszystko zależy od fantazyi. Przypuszczam zatem... jeżeli się w podobnym razie znajdziesz.... kiedy nieobecnym...

De Marsan. Nie będę nigdy nieobecnym, bądź o tem najmocniej przekonany.

Dessoles. Lecz chyba nie przypuszczasz — iż zawsze i ciągle będziesz stać jak mur graniczny między mną a swoją żoną?

De Marsan. Ależ nakoniec... pozwól sobie przypomnieć iż tu idzie o zwrócenie mi mojej żony — a nie o jej odebranie? Rzeczywiście słysząc cię mówiącego teraz, możnaby przypuszczać iż to o cie-

bie tylko chodzi!... Słuchaj Piotrze, jeszcze jedno pytanie? Jaka była rzeczywista przyczyna tego nadzwyczajnego ożywienia Julii w słowach i jej postaci którą spostrzegłem?

Dessoles. Rzeczywisty powód, było oburzenie!...

De Marsan. Oburzenie!... Lecz nie zdaje mi się ażebyś zapomniał o winnym szacunku?...

Dessoles. Może być!...

De Marsan (unosząc się). Lecz to szalona junakierya... mnie mówić takie rzeczy w oczy.

Dessoles (tymże tonem). A więc tę szaloną junakierya popełniłem. Gdyż nie ma mowy o szacunku w trzecim artykule!... Prosiłeś mnie ażebym się zalecał do twej żony, ja też się zalecałem na swój sposób!...

De Marsan. Jeśli cię prosiłem ażebyś się zalecał do mojej żony, myślałem iż to będziesz robił uczciwie, z godnością... jak to przyjęte między ludźmi z wyższej klasy... nie przypuszczałem więc nigdy...

Dessoles. Bardzo więc dobrze! Powiedz mi z łaski swojej, o której odchodzi przyszły pociąg? Tą ścieżką udam się zaraz.

De Marsan. Pozostań! Przyrzeknij mi tylko iż będziesz umiarkowanym.

Dessoles. Umiarkowanym! Bynajmniej nic nie obiecuję!... Ty myślisz iż to mnie bardzo bawi, ależ to uciążliwa pańszczyzna... bardzom więc zadowolony iż to wszystko już się skończyło!... Umiarkowany... a to pyszne! Niech więc pierwszy galant który obejmie po mnie tę rolę dobrze się wyuczy warunków!... Do widzenia mój przyjacielu, o świeże wiadomości bardzo proszę.

De Marsan (biorąc go za rękę). Nie opuszczaj mnie, gdyż tego potrzeba wymaga. Najmocniej jestem o tem przekonanym iż tak być musi! Niech ta próba się spełni. Będę miał odwagę... Z tem wszystkiem mam i ja mój projekt... Zostań Piotrze!... zostań!... lecz pierwej przyrzeknij dotrzymać warunku trzeciego.

Dessoles. Przyrzekam!... (wychodzą z lewej strony podając sobie ręce).

AKT TRZECI.

Sala kwadratowa wychodząca na ogród; z prawej strony wejście do pięknej oranżeryi, meble, konsole ze zwierciadłami z lewej strony; wielkie drzwi w pośródku ciągle otwarte; drzwi też z prawej strony, gerydon i krzesło z prawej strony.

SCENA I.

Julia (ubrana właściwie do wsi, duży słomiany kapelusz, wchodzi z lewej strony i zmierza ku oranżeryi. **Antoni** układa książki na konsoli, obraca się. Julia go spostrzega).

Julia. Antoni!

Antoni. Co pani rozkaże?

Julia (z zakłopotaniem). Coś chciałam ci powiedzieć!... Ah!... Boże... jakże dziwnie jestem roztargnioną! Ah! prawda. Powiesz moim dzieciom iż im zabraniam bawić się w pobliżu tej dużej sadzawki.

Antoni. Dobrze pani.

Julia (robi kilka kroków i powtarza z nieśmiałością). Ja zaś właśnie udaję się w tamtą stronę, w stronę dębnika. Jeżeli więc mój mąż... albo p. Dessoles... będą się o mnie pytać... powiesz im... iż tam się znajduję. (wychodzi z pospiechem na lewo).

Antoni (sam, smutnie kiwając głową). Tak! nie dobrze to wszystko idzie. Lecz co mnie najwięcej dziwi, to wesołość pana, gdyż od ośmiu dni jak tutaj jesteśmy odzyskał cały swój dobry humor.... śmieje się... śpiewa... Oh! niestety... a jednak to człowiek rozumny... i ze zdolnościami. Ja co tylko jestem starym sługą, widzę wszystko jaśniej... i wściekam się... Ten młody człowiek... ten lew, co on tutaj ma do roboty?... Doktór... dobry doktór!... czemuż on lepiej nie pojedzie odwiedzać swoich chorych, jeśli jest doktorem...

SCENA II.

Antoni, Dessoles (wychodzi z oranżeryi).

Dessoles. Dzień dobry! Jeremiaszu!

Antoni. Najniższy sługa.

Dessoles. Myślałem iż pani de Marsan jest w tym salonie?

Antoni (wahająco). Nie... nie... panie. Pani mi kazała panu powiedzieć....

Dessoles (żywo). Cóż takiego?

Antoni. Ażebyś pan na nią tutaj zaczekał!.... (na stronie) pod wiązem... może tym gorzej!...

Dessoles (siada w fotelu). Dziękuję ci mój przyjacielu.

Antoni. Może pan żąda gazety (podaje mu dziennik i mówi na stronie z dobroduszną naiwnością). Nie można go naraz wszystkiego pozbawić!

Dessoles. Bardzo ci dziękuję (rozkłada dziennik). Zobaczmy co tam jest nowego?

Antoni (znacząco). Zdaje się panie, iż jest bardzo wiele chorób?...

Dessoles. Tym lepiej!... brawo... brawisimo!...

Antoni. Przypomina mi pan w tej chwili moje dawne czasy, kiedym jeszcze służył w wojsku. Odgłos bitwy przejmował nas radością... szliśmy na armaty... gdy się mówi doktorowi o chorobach... takież same to na nim sprawia zapewne wrażenie... Tak też być powinno... I to właśnie co mi się podoba w doktorach.

Dessoles (roztargniony). Tak!... tak...

Antoni. O! tak mój panie. Lecz może pan bardzo ciekawy, dowiedzieć się o ruchu pociągów kolei? O! jeszcze przed południem mamy trzy pociągi: najpierw do Paryża...

Dessoles. Dziękuję... dziękuję... jeszcze nie odjeżdżam dziś rano!...

Antoni. O! i po południu mamy też trzy również pociągi... Pierwszy... (słychać w głębi głos de Marsan'a który śpiewa). Ah! to mój pan, niedobrze mi się aż robi gdy go słyszę tak wesołym.

SCENA III.

Ciż sami, de Marsan.

De Marsan (bardzo ożywiony, śpiewa). Cóż to ty tutaj Piotrze? Myślałem iż się znajdujesz w parku z mą żoną. Cóż za cudowny mamy dziś czas: nieprawdaż?... jestem też wesół jak zięba.

Antoni. Oh! mój Boże, jakżeż mi niedobrze.

Dessoles (obojętnie). Z twą żoną bynajmniej nie jestem. Czekałem dopiero na nią rozmawiając z twym starym Antonim, który z całą uprzejmością, wskazywał mi godziny odjazdu pociągów...

De Marsan. Odjazdu. Chyba jeszcze nie ma o tem mowy! Wszak pozostaniesz u nas cały miesiąc?...

Antoni (na stronie). Muszę już ztąd pójść, gdyż mi bardzo niedobrze (przyszedłszy do drzwi obraca się i dodaje) a jednak jest to człowiek ze zdolnościami!...

(d. c. n.)

O SZARYM ZMROKU.

(Wspomnienie).

Jestem samotną. Na wpół zgasłe oczy,
Patrzą się częściej w niebo niż na świat.
Świat był mi niegdyś czarowny, uroczy,
A dziś zchmurzony i niby trup zbladł.

* * *

O niegdyś! pomnę — w modrzewiowym dworze,
Gdy przyszli chłopcy i dziewice hoże,
Gdy nam kapela mazura zagrała,
Chociaż i stojąc każda tańcowała.
A kiedy chłopiec ścisnął rączkę małą,
Oj! co się w sercu — co się w sercu działo!...

* * *

Już na kominku — głownie gasną — cicho!
Ty serce moje bądźże — bądźże cicho.
Sen klei oczy... na dworze zawieje...
Może choć serce we śnie się pośmieje...

Miron.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

— Spojrzno Mieciu, odezwał się Stanisław wskazując na towarzystwo w którem się Bolesław znajdował! A to czyste koczkodany! Para małżonków jak turkawki, dziewczyna rzuca oczkiem na młodego sąsiada podobnego do muchy na lepie osadzonej. Bolesław siedzi zamyślony, czyby był zazdrośny o młode turkawiątko nie ku niemu dziobkiem zwrócone? Trzeba go zbliżyć z Łepakiem a pogryzą się jak brytany wiecznie na siebie warczące.

— Dajże pokój, wtrącił Maciuś, ludzie jacyś przyzwoici...

— Tylko mój Maciusiu, daj pokój z demokracyą o łatanych butach i pustych kieszeniach. Chodźmy do Bolesława...

— Stasiu, czy to wypada? zapytał Jan. Tacy jacyś... może rzemieślnicy...

— Mój Jasiu przerwał Stanisław, wszelkie arystokratyczne przesądy zostaw na uboczu. Warszawa to nie wasza zapadła wiejska pustynia. U nas popłaca tylko arystokracya worka. Bolesław z hołotą nie bratałby się, mając znajomości powozowe i krezusowe.

Maciuś spokojnego usposobienia, oświadczył że pójdzie przypatrywać się tańczącym. Mieczysław postanowił mu towarzyszyć, powiadając że z zacofanymi jak Bolesław, rozmowa ani ciekawa ani pożądana.

— Nudny jest i zarozumiały, dołożył w końcu, nie lubię podobnych ludzi.

— Masz słuszność mój sędziulku, ty jako uczony najlepiej możesz to osądzić. Łepak to co innego.

— Bez zaprzeczenia...

— Sprytny jak korek z ołowiem co się nie da przewrócić.

Towarzystwo w którem się znajdował Bolesław, raczyło się piwem i kiełbaskami. Bolesław był jakiś

zamyślony, czoło bruzdziło się pręgami a rękami rozgarniał włosy niespokojnie. Młodzieniec siedzący przy młodej dziewczynie, był ujmującej bardzo powierzchowności, z twarzy promieniła łagodność, z oczów rzewność przeglądała a choć sąsiadka do niego często z rozmową zwracała się, był milczącym i tylko czasami coś jej odpowiadał.

— Jak się masz Bolciu, odezwał się Stanisław kładąc rękę na jego ramieniu.

Bolesław zwrócił się brwi marszcząc.

— Ah! to ty... ty...

— Chcesz zapewne dołożyć Lamparcie? Nie wahaj się, nazwa to nie ubliżająca. Nie zawsze nim bywam, a jak w tym razie zbliżam się do ciebie aby ci przedstawić mego krewniaka Jana, świeżo ze wsi przybyłego, którego radbym poznać z naszem literackiem gronem...

Bolesław z widocznem pomieszaniem zwrócił się do Jana.

— Nie jestem literatem, odezwał się, oddaję się....

— Ba, ba, ba! przerwał Stanisław, nie udawaj skromnisia, wiemy bardzo dobrze...

Bolesław zerwał się jakby chciał zmienić przedmiot rozpoczętej rozmowy, a Stanisław wziął go za rękę i zapytał cichym szeptem wskazując nieznacznie na siedzących przy stole:

— Co to za jedni?

— Nie znasz ich?

— Nie, pierwszy raz ich widzę. Podobni do...

— To was poznajomię, przerwał Bolesław i zwracając się ku poważnej parze małżeńskiej mówił dalej:

— Pozwólcie szanowni państwo, że wam przedstawię moich znajomych, to pan Stanisław, to Jan jego krewniak, to zaś pan Strużyk majster stolarski, i godna jego małżonka, to panna Walentyna ich córka a to pan Kazimierz czeladnik stolarski a mój przyjaciel.

Stanisław pewny pieniężności osób nieznanych sobie, gdyż nie przypuszczał innych stosunków Bolesława, na przedstawienie siebie odpowiedział szastaniem i przeszywającem spojrzeniem na pannę Walentynę, z przytomnością człowieka który czasem i z piasku umie bicze kręcić.

— Jakieś zagonowe czupiradło, pomyślał sobie, jeżeli jednak posażna...

Gdy jednak wyszło na jaw stolarstwo, Stanisław mimowoli skrzywił się, lekko uchylił głowę i śpiesznie cofając rękę wyciągniętą do uścisku szepnął w myśli:

— A tom się złapał!

Potem nie zwracając już uwagi na przedstawionych, usiadł na rogu stołu i kiwając nogą rzekł zwracając się do Bolesława:

— Jest tu Bolciu Łepak, pójdźmy do niego na chwilkę...

— Widziałem go, ale nie żyję z nim w tak blizkich stosunkach abym...

— Chciałbym zapoznać go z moim krewniakiem, będzie więc nam raźniej...

— Wybacz panie Stanisławie, towarzystwa w jakiem się znajduję nie mogę odstępować. Wreszcie za nadto z nim jesteś dobrze abyś potrzebował pomocy....

— No, zapewne, ale nie znam osób przy nim siedzących...

— Możesz z niemi być bez żadnej ceremonii, są to pijawki co ssą Łepaka...

— Co, co? Pijawki ssące Łepaka? Żartujesz chyba!

— Mówię zupełnie poważnie i możesz mi wierzyć...

— Wiesz co, że to zabawne!

— Ci co siedzą, mówił dalej Bolesław, przy sobie, to małżeństwo, a ta co przy Łepaku to siostra ich mężatka pani Bulowa. Pan Bul leży w domu umierający, pani Łepakowa zaś...

— Pani Łepakowa? przerwał Stanisław potrząsając głową. To tylko uporczywa kandydatka do tego tytułu...

— Mylisz się, to jego żona.

— Więc się ożenił?

— Naturalnie....

— Czy zwaryował?

— Tego nie wiem.

— To zapewne sukcesya niespodziana....

— I to nie.

— Więc cóż go zniewoliło do tak grubej stawki?

— Opinia.

— No, no, mruknął Stanisław poruszając głową. Nie wiedziałem że tak dba o nią.

— Otóż kiedy pan Bul, mówił dalej Bolesław, leży w domu umierający, a pani Łepakowa jest pewna, że najdroższy jej małżonek zajmuje się jakiemiś bardzo zyskownemi czynnościami, on tymczasem przepędza czas na miłośnej schadzce...

— Biedny Łepak! Podobny do zająca złapanego na wnyki. Nie przypuszczałem jednak nigdy takiej w nim nieoględności. Bywajże mi zdrów panie Bolesławie, pójdę teraz do Łepaka, dla którego należy współczucie.

— Winszuję ci go ale nie zazdroszczę

— Oh! ty prawdziwy dziwaku, odrzekł Stanisław i lekkiem skinieniem pożegnał towarzystwo.

— Łepak siedział w małej altance dość źle ocieniowej. Na stole znajdowała się zastawa po spożytym podwieczorku złożonem z kurcząt i śmietany. Łepak palił cygaro i podpatrując bacznie rozmawiającego Stanisława z Bolesławem, zatrzymywał przenikliwe spojrzenie na sąsiadce pani Bulowej, odpowiadającej mu na to zawsze uśmiechem pełnym życzliwości. Była to osóbka nie młoda i nie stara, nie brzydka i nie ładna, dość pękata i dość fertyczna, z dołkami wesołości w policzkach i z oczami kruczej czarności któremi się dość także nie źle posługiwała. Stanisław objął to wszystko odrazu przenikliwem spojrzeniem i odchodząc od Bolesława mruczał do Jana półgłosem:

— Cóż powiesz o Bolesławie? Czyśmy go niesłusznie nazwali dziwakiem? Zmienia towarzystwa w jednym dniu jak buty raz od błota to znów od pogody. Co on może robić w pośród rodziny prostych rzemieślników raczącej się piwem i obwarzankami, przy tym Kazimierzu czeladniku wyglądającym jak palma męczeństwa, którego głośno nazywa swoim przyjacielem? Zagadka z węzłem trudnym do rozplątania.

— I mnie to bardzo dziwi, odrzekł Jan. Pochodzenie jego musi być bardzo nizkie....

— Tylko z tem mój Jasiu, nie odzywaj się bardzo głośno, bo z herbami i rodowodami rozbrat wzięliśmy raz na zawsze. Dźwigamy i my je na naszych barach, ale to zwietrzałe głupstwo jest pamiątką samych burd, pijatyki i rąbania na oślep, aby bić się i kiereszować a potem pić na zgodę i sejmikować.

Kiedy się zbliżyli nasi przyjaciele do altanki, Łepak już zdaleka witał ich z uśmiechem wyszczerzając zęby, jakby miał niemi ochotę ukąsić kogo.

— Cóż tam z bogobojnym Bolesławem rozmawialiście tak długo? zapytał wyciągając rękę na powitanie. Czy spowiadaliście się prosząc o odpuszczenie grzechów.

— Ha! ha! ha! Zgadłeś Łepaku, odrzekł Stanisław, była to rzeczywiście dysputa rozpamiętywania ale bez absolucyi, przynajmniej dla ciebie, za niewinną igraszkę w której tak zawzięcie oczami pracujesz.

Stanisław spojrzał znacząco na panią Bulową i roześmiał się. Łepak pogładził wąsy, w tył zarzucił czuprynę i równie znaczącym odpowiedział uśmiechem.

— Zostawiam mu niebo bez żadnego ograniczenia, odrzekł z szyderstwem, i życzę w myśl jego pragnień, jak najprędszego dostania się do królestwa niebieskiego. Sobie zostawiam ziemię ze wszystkiemi jej dolegliwościami. Cóż robić, różne są gusta pomiędzy ludźmi.

— Tak, tak, nietylko różne ale nawet i liczne, odezwał się Stanisław z głośnym śmiechem, a ty Łepaku jako oględny o zapas ich widzę jesteś dbały.

Łepak zmarszczył brwi, przytyczek widocznie mu się nie podobał. Stanisław spostrzegł i zrozumiał że w żartach cokolwiek się zagalopował. Zwracając się przeto do Jana rzekł:

— Korzystając ze spotkania, pozwól kochany Łepaku, że ci przedstawię mego krewniaka Jana....

— Bardzo mi przyjemnie, przerwał Łepak ściskając podaną sobie rękę z poznajomionym. Pan zapewne nie jest Warszawiakiem?

— Parę dni temu jak ze wsi przybyłem....

— Jest to młode orlątko świeżo wyfrunięte z gniazda, które pragnąc bujać w obszarach wiedzy, pragnie zarazem wyskubać z siebie wszystkie piórka z przestarzałej przeszłości, a porosnąć w nowe pierze według nowych zdobyczy nauki.

— Pragnienie bardzo chwalebne, odrzekł Łepak. Świat stary zgrzybiał i zamienił się w próchno. W mogilnej ciszy niech mu będzie lekką ziemia, niech rozpamiętywa swoją przeszłość, niech marzy, gorączkuje, rozpala się, majaczy, tylko z pod całunu niech nie wytyka nawet palca bo pleśń z niego może tylko trawić, niszczyć ale nawet w jednem ziarenku nowych idei nie obudzi życia tak dla ziemi upragnionego. Dlatego poznajomienie z panem bardzo dla mnie pożądane; tylko przez młodych świat się odrodzić zdoła a starzy im prędzej wymrą tem dzielniej się do tego przyczynią. Zawada to uprzykrzona i niezmiernie uporczywa, pan należysz do młodych, witam cię więc jako szermierza w boju, jaki się toczy obecnie przy usuwaniu śmieci uczczonych naiwnie mianem tradycyi, i nie wątpię że będziesz dzielnym bojownikiem, służącym prawdzie a gardzącym mrzonkami starych niedołęgów i przesądami godnych osłów, którzy bez bicza i przewodnika kroku postąpić nie śmieją.

Jan potokiem słów olśniony nie zrozumiał należycie ich znaczenia, ale tyle pojął, że jako młody powołany jest do odrodzenia świata, który zgrzybiały i w proch się rozsypujący potrzebuje dzielnych bojowników, aby wziął rozbrat z mrzonkami i przesądami starych niedołęgów. I uczuł się jakby podniesiony w swej godności, ogarnęło go uczucie ufności w siebie jakiego przedtem nie znał, zajaśniało przekonanie, że nie jest znów tak niczem jak stryj to utrzymywał. Ośmielił się, rozruszał i oświadczył w końcu że prosi bardzo o rady Łepaka, że chętnie z nich będzie korzystać, gdyż jedynym jego celem przybycia do Warszawy, jest zbliżenie się do młodzieży stojącej na czele ruchu umysłowego i wtajemniczenia się w skarby przez nie zdobyte.

— Zrobi się to, zrobi, panie Janie kochany, zapewniał Łepak, pragnąc jak najprędzej skończyć nudną dla siebie rozmowę, zwłaszcza że go zaczęły niepokoić koperczaki Stanisława do pani Bulowej, która z początku milcząca pomału rozgadała się a nawet uśmiechała.

— Ale powiedz mi mój Stachu, odezwał się Łepak, co tak długo rozprawiałeś z Bolesławem? Czy wystąpił z jakiem kazaniem?

— Był i z niego mały urywek dotyczący ciebie, ha! ha! ha!

Łepak zmarszczył się i łypnął oczami ku Bolesławowi wychodzącemu w tej chwili z ogrodu.

— Radzę mu ostrożność, syknął głosem żmii. Na kazania za stary jestem, ale mam ja na niego pewne dane.... przypiekę mu nieźle w swoim czasie....

— Zmiłuj się, czy wiesz co pewnego?

— Jestem na tropie do poznania całej tej maskarady, widzę w niej jakieś wielkie łajdactwo.

— Cóż takiego?

— Dziś jeszcze tajemnica, ale wkrótce dojdę jej i pokażę światu, co to są za ludzie występujący przeciw nam do walki.

Stanisław nalegał o wyjaśnienie, ale Łepak stanowczo odmawiał.

— Trzeba umieć być cierpliwym, rzekł w końcu, nieoględność może popsuć wszystko.

Pożegnano się, Łepak podał rękę pani Bulowej a Stanisław odchodząc z Janem szepnął mu:

— A niech cię sęk palnie mój Jasiu z tak prędkiem zerwaniem rozmowy z Łepakiem.

— Dla czego?

— Bulowa to wcale nieszpetna kobiecinka. Ma niezmiernie figlarne oczki, dołki w buzi bardzo wymowne, spojrzenie jak ogniki, i już, już byłem na drodze przyprawienia rogów Łepakowi, gdy nagle rozmowę urwałeś i zostawiłeś mnie jak szczupaka na ląd wyrzuconego. Cóż spoglądasz na mnie tak wielkiemi oczami? Powinieneś je spuścić z zawstydzenia za swą niedomyślność i usunięcie się od koleżeńskiej przysługi. Na drugi raz bądź uważniejszym.

Jan rzeczywiście na przymówkę tę zrobił wielkie oczy nie wiedząc co ma sądzić o jej treści, czy bronić się czy uznać winnym. Z domowego wychowania wyniósł inne przekonania, ale tu wyszydzano je, pomiatano niemi przezywając mrzonkami niedołęgów i przesądami osłów. Takie potępienie bezwarunkowe musi mieć zasadę.... wszakże młodzi mają świat odrodzić. Jan też na wymówkę nic nie odpowiedział.

Rozdział XXVI.

Powrót z Saskiej Kępy naszych znajomych nie udał się tak jak się spodziewano i miał pewne niedogodności. Lunął deszcz: wszystkie sale, sienie, przystawki i poddasza, napełniły się zgromadzonym tłumem szukającym ochrony przed nawałnicą. Tłoczono się popychano, sprzeczano, żartowano a gdy ochronne dachy zaczęły przeciekać, wydobyto parasole z których spływająca woda niecierpliwiła i wywoływała głośne żądania zwinięcia osłon tak niedogodnych. Tłum wreszcie wszędzie był tak liczny, że jeden tuż stał przy drugim, a każdy pragnął odsunąć się od sąsiada jak najdalej, parasole więc rozpostarte powiększały zamieszanie, gniotły się, wyginały, powstał krzyk, zamęt nawet sprzeczki dosadne, w których Stanisław rej wodził starając się koniecznie jak najmniej doświadczyć skutków deszczowych przypadłości. Najwięcej na jego brutalstwie cierpieli mniejsi chłopcy; popychał ich, potrącał, łajał, w czem Mieczysław mu wiernie dopomagał niezadowolony z całego otoczenia. Pomimo bowiem pozytywizmu, był arystokratą od stóp aż do głowy, krzywił się, niecierpliwił a w myśli przeklinał pomysł Stanisława wyprawy na Saską Kępę, pomiędzy motłoch nie umiejący uszanować jego wartości.

Lud warszawski nie jest awanturniczy, burd nie lubi, dla lekceważących siebie byle nie do ostatetecznej przesady, ma wiele wyrozumienia, nawet potulności, ale gdy miarka się przebierze nie da o bie w kaszę dmuchać i odcina się równie brutalnie i złośliwie jak jest napastowany. Postępowanie też Stanisława i Mieczysława zaczęło się niepodobać, powstały szepty, szemrania a gdy Stanisław pragnąc zmniejszyć ciżbę popchnął niby niechcący bliżej stojących, z dalszego punktu tak nagle zrobiono odwet, że znajomi nasi szturchnęli się głowami i o mało że nie padli na ziemię.

— A to i bydło lepiej się nie zachowuje w oborze! wrzasnął Stanisław poprawiając kapelusz spadający mu z głowy. Czysta trzoda chlewna!

— A ty pastucha! ozwał się jakiś głos i zakwiczał. W ślad za nim ozwało się kwiczenie, rechotanie nowych głosów, naśladowano trzaskanie z bicza, nawoływanie rozpierzchłej trzody, drudzy śmiali się, dowcipkowali, Stanisław z Mieczysławem udał że na to nie zważa, Maciuś niecierpliwił się brutalstwem swoich towarzyszy a Jan stał jak na rozpalonych węglach. I przyszłoby z pewnością do jakiejś grubej awantury nie zbyt bezpiecznej ani honorowej, ale na szczęście deszcz ustał, zajaśniało słońce i goście wysypali się ze swych miejsc ochronnych ciesząc się odzyskaniem straconej swobody. Przy wychodzeniu nie obeszło się bez potrącań i popychań: kobiety podkasane trzymały suknie zebrane w rękach, inne zagięły je aż na ramiona, pokazały się tu i owdzie węzełki z kapeluszami i przedmiotami większej wartości, każdy się porządkował, wycierał, a gdy Stanisław przypatrzywszy się swoim dobrze podeptanym lakierkom spojrzał w ogród, zaraz ujrzał dwóch chłopców pokazujących mu języki gdy drudzy z tyłu za nimi kwiczeli i rechotali. Stanisław pogroził im palcem i zwracając się do przyjaciół rzekł:

— Pójdziemy zapewne lądem na Pragę bo do przeprawy przez Wisłę trudno się będzie dostać przed tą gawiedzią, której widok wystarczy mi na rok cały jeżeli nie na całe życie.

Ruszono więc lądem, drogą prowadzącą między wierzbiną, płotkami, rowami, a za nimi posypała się zgraja chłopców coraz zwiększana nowemi przybyszami. Jedni z nich pragnęli się pomścić za niegrzeczne obejście z Wojtusiem; drudzy mieli zawziątkę na Stanisława, inni na Mieczysława, inni wreszcie byli obojętni nie doświadczywszy żadnej osobiście krzywdy, ale że tu szło o wypłatanie figla jakiemuś elegancikowi warszawskiemu, nie pytając się więc o przyczynę, przyłączali się chętnie do zgrai malkontentów czując się niejako zobowiązani do wspólnego z nimi działania. Wprawdzie nie Stanisław dokuczył Wojtusiowi, ale właściwy winowajca gdzieś przepadł bez wieści, w braku więc jego, włożono winę na Stanisława i partye połączyły się z postanowieniem oddania pięknem za nadobne.

Droga prowadząca zarówno do przewozu jak na Pragę szła w jednym kierunku: powracający wyciągnęli się na niej długim sznurem, znajomi nasi gwarzyli wesoło, a chłopcy chyłkiem, bokami szli po obu stronach drogi zbierając kamienie i lepiąc kulki z ziemi.

— Jakże to szczęśliwie żeśmy się wydobyli z tej matni zadusznej, odezwał się Stanisław. Myślałem że mi nos upadnie, brrum!

— Przyznam się, mruknął Mieczysław, że pomysł twój wycieczki na Saską Kępę strasznie był niefortunny. Co tu robić pomiędzy temi odrapanemi chałupami, ogrodami i motłochem *szurdutowym* zdaleka cuchnącym piwem i gorzałką?

— Daj pokój Żyrafko, podobne wycieczki zaostrzają apetyt. Na Pradze pod rakiem zjemy kolacyjkę, a Saską Kępę puścimy w trąbę raz na zawsze....

— Brudne to, błotne, ordynaryjne, odezwał się Mieczysław i w tej chwili przerwał, bo garstka mokrej ziemi padła mu na same usta. Zaczął się więc obcierać, spluwać, zżymać, oglądać a Stanisław śmiać głośno, gdy jednocześnie zaszumiał kamień i zrzucił mu kapelusz z głowy.

— A to co? wrzasnął i dostrzegłszy chłopca kryjącego się za płotem puścił się za nim w pogoń. Z przeciwnej strony posypał się grad kamieni, podniosły się okrzyki tryumfu, chłopiec jak zając smyrgał przez łąkę, Stanisław dosięgnięty kilku pociskami, zwrócił się, zgraja krzykaczy umilkła a po za nim z za płotu wytknęły głowy nowego korpusu chłopców paląc w niego co który miał w ręku. Stanisław wzięty we dwa ognie, biegał od jednej strony do drugiej, groził, łajał, wytrząsał kijem, ale chłopcy nic na to nie zważali i jak tylko zwrócił się od nich podnosili krzyk i sypali błotem i kamieniami. Stanisław ziajany, zaczął sapać i osłonił się parasolem klnąc wszystkie kępy na całym świecie i brak obrony przed napastnikami. Mieczysław ciągle spluwał i wycierał gors od koszuli, Jan niepokoił się a Maciuś wymawiał że nie zważając na przestrogi sami sobie narobili bigosu.

— I nam się przy was dobrze dostało, mówił wycierając powalanie. Macie się za wielkich mędrców a tak niemądrze postępujecie....

— Ciekawym co tu niemądrego, kiedy się bydlę bydlęciem nazywa...

— Już dajcie pokój, bo...

Maciuś odskoczył na bok nie domówiwszy rozpoczętej myśli, gdyż kamień mignął mu tuż przed oczami i trafił Jana w piersi. Maciuś zwrócił się i pogroził chłopcom mówiąc:

— Chłopcy, poco zaczepiacie? Uspokójcie się lepiej i miejcie rozwagę, czyż wam co złego zrobiłem?

Ton mowy Maciusia był tak spokojny i łagodny, tak wolny od najmniejszego gniewu, że chłopcy zaprzestali napaści, powyciągali głowy, nadstawili uszy i jeden z nich najśmielszy rzekł:

— Przepraszamy pana, z tym kamieniem to wypadek, my tylko na tamtego pana wysokiego mamy zawzięcie....

— Dajcie pokój, to niegrzecznie, niepoczciwie zaczepiać ludzi....

— A po co nas zaczepiał?

— No.... w takiej ciżbie, hm! w takim wypadku jak deszcz to różnie bywa. Ale słowo to wiatr a kamień może skaleczyć a nawet zabić...

Chłopcy spojrzeli na siebie i nic nie odrzekłszy zaczęli się bawić prętami uderzając niemi po ziemi. Stanisław dostrzegłszy to, puścił się za niemi w pogoń, chłopcy wachlarzem rozbiegli się w różne strony, jeden ścigany wybiegł na drogę i kiedy Stanisław tuż, tuż dochodząc wyciągnął rękę robiąc ostatnie wysilenie aby go za kołnierz uchwycić, chłopiec nagle jak lis przed chartami przykucnął, podciął nogi goniącemu i Stanisław runął na ziemię koziołkując. Zanim się opatrzył chłopiec już był na nogach a jego towarzysze bili oklaski i wrzeszczeli jak opętani.

(*d. c. n.*)

Dwie wiosny.

Wiosna życia... mocny Boże,
Przeminęła z latem już!...
Koło chaty na ugorze,
Suche głogi zamiast róż.

Gaśnie słońce u zachodu,
Wiatr jesienną piosnkę dmie...

Oj, wy listki wśród ogrodu
Gdzie pędzicie z burzą — gdzie?

Szumki... dumki... a w tem nowe,
Dziwne jakieś brzaski lśnią;
Co to? pytam, wznieście głowę!
Świat rozbłyska jasną grą.

I znów maj!... gwiaździste kwiaty
Wschodzą, lecz... u rajskich bram.
Wiosno! ty nie mijasz z laty:
Co tu zwiędło — kwitnie tam!...

Marta.

OSTATNIA MIŁOŚĆ.

PRZEZ

Salvatora Lopez Guijorro

przekład

Elizy R.

Czy małżeństwo jest wynikiem rozumu czy głupoty ludzkiej? Tego nie wiem. Jeden z moich przyjaciół zapewnia, że ożenić się jest największem szaleństwem jakie człowiek popełnić może. Drugi zaś twierdzi, że nic przyjemniejszego jak mieć dobrą żonę, która serdecznem ciepłem ogrzewa, jasnem spojrzeniem rozwesela, tak pyszne mury pałacu, jak i skromne wiejskiej chatki ściany — i że do śmierci żałować będzie, iż nie ożenił się zaraz po wyjściu ze szkół.

Sam więc nie wiem, które z tych dwóch przekonań jest więcej uzasadnione, lecz co zapewnić mogę, to: że gdyby małżeństwo nie istniało, pani de N. nie byłaby wyszła za mąż, nie miała dwóch uroczych córeczek, wreszcie nie wyjeżdżałaby do Paryża i powracała ztamtąd, a tem samem zdarzenie które czytać będziecie nie miałoby nigdy miejsca, a ja nie miałbym sposobności wam go opowiedzieć.

Pewnego grudniowego wieczoru, wszedłszy do salonu mej gościnnej przyjaciołki, zastałem zebranie złożone z kilku ludzi poważnych, z których najmłodszy pewnie już piąty krzyżyk przeliczył. Było to więc jedno z tych zebrań, które my trzydziestoletni samolubi nazywamy: zgromadzeniem starych. Znajdował się tam jenerał zapalony lubownik starożytnej literatury, bankier obdarzony od losu milionami i sporą liczbą siostrzeńców, którzy naturalnie nie oszczędzali kieszeni wujaszka, dyplomata w nieodstępnej białej kamizelce, jaką nosił od pierwszego dnia swej gabinetowej karyery, wreszcie kapitalista, stary kawaler, epikurejczyk, samolub, bez innego przywiązania w sercu jak to, które obudzały listy zastawne, bez innego celu życia, jak własna wygoda. A przytem do tego stopnia zapalony gastronom, iż nie wahał się wyzwać na pojedynek jednego ze swych przyjaciół, gdy ten zmusił go do wypicia kieliszka czerwonego wina, przy potrawie z ryb.

Pani de N. ze swym uroczym uśmiechem, podała mi filiżankę herbaty zapytując o najświeższe wiadomości z teatru, o to co usłyszałem na scenie i w sali, pozwoliła zwrócić uwagę na kształt i białość prześlicznej swej rączki, a w końcu wspomniała o poważnym nastroju swych dzisiejszych gości. W istocie wszyscy obecni zdawali się być pogrążeni w najgłębszej zadumie, jenerał przeglądał leżące na stole pisma illustrowane, przepełnione szkicami z wojny turecko-rosyjskiej, bankier czytał najświeższe gazety, dyplomata przerzucał kartki jakiegoś dzieła a stary kawaler ciągnąc powoli dym z wybornego cygara, strzepywał niekiedy końcem małego palca gromadzący się popiołek.

Ja tymczasem zapewniałem uprzejmą panią de N. iż na świecie nie ma nic nudniejszego jak ludzie zamykający się w sobie i dodałem, że gdybym w jej towarzystwie potrafił tak długo milczeć, dla ukarania samego siebie, nie opuściłbym własnego mieszkania. Mersedes odpowiedziała mi iż gościom swoim zostawia zupełną swobodę działania — i że mnie uważa za roztrzepane dziecko, które nie pojmuje ile skarbów zamyka się niekiedy w milczeniu, na co ja nie przystałem twierdząc, że w towarzystwie trzeba i o innych myśleć, a także przypomniałem, iż gdy w jej salonach zbierze się liczne grono młodzieży, pełnej życia i zapału, każde ziewnięcie tych stuletnich, jest dla nas jakoby smutnem rozczarowaniem.

Pani de N. chciała zamknąć mi usta drugą filiżanką herbaty, lecz nie chcąc uznać się pobitym, postawiłem ostateczny argument mówiąc, że podobne milczenie ma w sobie coś zdzierająco grobowego i że obowiązkiem jej jest wyrwać swych przyjaciół z tak smutnego stanu. Ostatnie słowa moje przekonały ją wreszcie; zamyśliła się trochę i po chwili wyciągnąwszy ku zebranym gościom swą kształtną rączkę, rzuciła wniosek czy rozkaz, który padł jak kartacz w pośród uśpionego obozu, aby każdy z obecnych opowiedział historyą swojej ostatniej miłości.

Tu powstało prawdziwie ewangieliczne zgrzytanie zębów, wszyscy zerwali się z miejsc swoich, jakby iskrą elekrytyczną wstrząśnięci. Zaczęły się sypać odmowne i gniewne odpowiedzi, prośby czynione w imię pogrzebanej przeszłości, w celu ułaskawienia despotycznego wyroku, wskrzeszającego wspomnienia historii starożytnej. Zewsząd zaręczano iż zadość uczynić życzeniu pani de N. przechodziło granice możliwego posłuszeństwa. Ale Mersedes była niewzruszona a rozkaz swój poparła uśmiechem i prośbą. Wtedy wszystkie te poważne osobistości wysunęły się do przyległego pokoju w celu złożenia narady, po chwili jednak dyplomata powrócił z oznajmieniem, że wniosek został przyjęty z warunkiem, że gospodyni weźmie też udział w torturach na jakie tak lekkomyślnie skazała innych, i że ona też opowie o ostatnim figlu spłatanym jej przez okrutnego bożka miłości. Na to żądanie pani de N. odpowiedziała jednem słowem: „zgoda“ które rozwiało ostatnie nadzieje skazanych. Każdy z nich powrócił na poprzednio zajmowane miejsce, z miną zwyciężonego gladyatora i zaczęły się opowiadania.

Na początek milioner wyznał nam, iż nie zbyt dawno, gdy miał dopiero lat 51 — posunął tak daleko swoje szaleństwo, iż zakochał się w młodej i uroczej przyjaciółce swej siostrzenicy, która, fakt godny zanotowania w drugiej połowie naszego stulecia, była równie skromną jak ładną. Stopniowo miłość ta wzrosła do takich rozmiarów, iż pewnego wieczoru wracając z przechadzki postanowił zapytać jej, czy nie zechce przejść z nim razem dalszych dni doczesnej pielgrzymki. Wysłuchawszy wyznania, roztropne dziewczę odpowiedziało rezolutnie, iż rozumie dobrze do czego zmierzały te słowa najlepszego z wujaszków, gdyż w istocie najstarszy z jego siostrzeńców, brat ukochanej przyjaciółki, potrafił pozyskać jej serce i że z radością przyjmuje z rąk kochanego wujaszka szczęście jakiem ją obdarza. W sześć miesięcy potem odbyło się wesele, ku wielkiej radości siostrzeńca, który nie wiedział jak podziękować wujowi za jego przenikliwość.

Dalej dyplomata opowiedział bardzo dramatyczną historyą, w której główną odgrywała rolę, blada i smętna angielka, żona Indyjskiego plantatora, będąca zwykłym gościem w salach rulety w Monako. Resztę opowiadania zapełniały: skóry tygrysie, zęby słoniów i mąż brunatnej barwy.... kończyło się zaś pojedynkiem na pistolety i śmiercią wszystkich, wyjąwszy opowiadającego.

Przyszła wreszcie kolej na jenerała.

— Trudnoby wam było odgadnąć imię przedmiotu mej ostatniej miłości, rzekł po chwili namysłu. Było to imię właścicielki domu w którym polecono mi stanąć wraz z moim pułkiem, gdy przechodziłem przez Estramadurę w roku 1839. Pani ta była poetką; jako poetka układała wiersze, a że w sonetach pisanych na różowym papierze, nazywała mnie bohaterem i synem Marsa, przez wdzięczność uczułem się w obowiązku, zaprowadzić ją do ołtarza, by podzielić korzyści mego położenia, gdyż byłem już wtedy pułkownikiem. Widzicie więc iż miałem słuszność powiedzieć, że przedmiot mej ostatniej miłości jest ciekawy, niezwykły a nawet nieprawdopodobny, gdyż jest nim moja żona.

Stary kawaler zaś zaczął opowiadanie w te słowa:

— Co do mnie — mówił, zeszłej zimy jeszcze mogłem się nazwać człowiekiem zupełnie szczęśliwym, gdy wychodząc z resursy ze wspomnieniem wybornego obiadu i kieszenią pełną wygranych banknotów, wsiadałem do mego wygodnego powoziku by udać się ku domowi, gdzie czekała na mnie zawsze moja nieporównana ochmistrzyni. Tam zastawałem wszystko w wzorowym porządku, nawet szklankę osłodzonej wody przygotowaną na stoliku, a położywszy się w najwygodniejsze z łóżek, zasypiałem spokojny o jutro, dziękując Opatrzności za tyle darów Jej ręki. Pewnego dnia, a był to feralny dzień dla mnie, wszedłem do teatru „de Jovellanos“ w celu przyjrzenia się nowej sztuce. Właśnie rozpoczęto akt pierwszy, który przykuł całą mą uwagę, tak, że dopiero w czasie antraktu zdołałem rozejrzeć się trochę po sali. Pierwsze spojrzenie moje padło na postać siedzącą tuż przy mnie. Była nią trzydziestoletnia kobieta o czarnych błyszczących oczach, badawczo utkwionych w mej twarzy. Czuję teraz iż obowiązkiem moim było odwrócić od niej spojrzenie, lecz nie uczyniłem tego niestety! a przewinienie to, stało się pierwszem ogniwem nieszczęsnego łańcucha rozlicznych następstw. Przed końcem przedstawienia sąsiadka moja opuściła zajmowane miejsce i wyszła w towarzystwie niemłodego mężczyzny, którego wtenczas dopiero spostrzegłem. Ale widocznie uroki już rzucone zostały, tego wieczoru powróciłem do domu smutny i zamyślony a nazajutrz z gorączkową niecierpliwością, oczekiwałem godziny otwarcia teatru i niecierpliwość ta wzrastała z dniem każdym. Zwykle po ukończeniu pierwszego aktu, towarzysz mej sąsiadki, który z konieczności musiał być jej mężem, opuszczał salę, a wtedy zaczynała się między nami ożywiona rozmowa, pełna czułych słów i czulszych jeszcze spojrzeń. Po miesiącu teatralnej znajomości, poruszyliśmy kwestyą bliższego poznania, które nie mogło mieć miejsca gdzieindziej, jak tylko w domu jej przyjaciółki o 7 rano.

Siódma rano! godzina targu, przekupni i mioteł, którą dotąd znałem tylko z opowiadania. Ale innego punktu wyjścia nie było, musiałem przystać na podane warunki. Niestety i gdzież się podział ów spokój niezmącony, który od lat tylu był celem mego życia?!

Nadszedł wreszcie nieszczęsny dzień spotkania, na wpół drzemiąc, opuściłem moje ciepłe mieszkanie i nie rozbudzony wcale stanąłem przed oznaczonym domem. Wprowadzono mnie do zimnego pokoju, w którym kaflowy piec wydzielał wszystkiemi szparami duszące kłęby szarego dymu. Zbliżywszy się do okna otworzyłem je czemprędzej, i tak złorzecząc sobie i okolicznościom co mnie tu sprowadziły czekałem, naturalnie ciągle jeszcze drzemiąc. Po

dość długim przeciągu czasu dało się słyszeć ciche wołanie; śniąc że to ochmistrzyni mego domu pragnie rozbudzić mnie, otworzyłem oczy ziewając.

Tuż przed sobą ujrzałem ideał mych teatralnych wieczorów; tak była to ona, lecz bez tych ozdób, które wczoraj jeszcze dodawały jej tyle blasku, bez kruczych warkoczów, z rozdziałem szerokim jak granica państwa, z bladą twarzą i zmarszczkami na czole. Zbliżyłem się, ująłem jej nawet rękę, chciałem mówić, ale słowa zamarły na ustach. Kobieta, którą wczoraj jeszcze widziałem tak piękną przy świetle gazu, dziś w niedbałym porannym ubiorze przeraziła mnie prawie. Chciałem przynajmniej uczuć woń jaką roztaczał wczoraj trzymany przez nią flakonik, lecz odetchnąwszy, połknąłem tylko kłęb dymu, jaki napełniał pokój.

O moje złudzenia, o moje sny urocze, Bóg wie gdzie uleciały. Położenie stawało się z każdą chwilą trudniejszem, czułem że wypadało coś powiedzieć. Zacząłem mówić o czasie, o przedstawieniu wczorajszem, o teatrze Jovellanos, o jej małżonku, byłbym mówił o Nabuchodonozorze, gdyby mi był na myśl przyszedł. Ona zaś opowiadała z przejęciem, ile walk i trudności kosztowało ją powzięte postanowienie i przybycie na wskazane miejsce a po półgodzinnej rozmowie rozeszliśmy się nareszcie. Powróciwszy do domu z okropnym katarem, położyłem się w łóżko na długie trzy dni, ślubując sobie zawiesić raz na zawsze broń bohatera romansu na ścianie mojej sypialni, dziękując Bogu że mnie tak radykalnie uleczył z ostatniego szaleństwa.

O! wierzcie mi panowie, dobrą jest miłość dla młodych, zdrowych i silnych, co do mnie dziś jestem jedynie miłośnikiem: dobrej kuchni, wygód i dostatku. Skończyłem.

Trzy poprzednie opowiadania przyjęte zostały serdecznym śmiechem lub uwagami pełnemi dowcipu, ostatnia, która wydała mi się wyborną, wywołała głuche, przeciągłe milczenie, snadź słuchacze czuli w głębi ducha iż w podobnym razie byłby ich mógł takiż zawód spotkać. Kilka głębokich westchnień uleciało pod sklepienie sali, nadając zebraniu cechę poważnego smutku.

Lecz dyplomata, którego długoletnia praktyka nauczyła panować nad doznanem wrażeniem, zwróciwszy się do gospodyni domu, przerwał grobowe milczenie wezwaniem, wymówionem w języku dyplomatów, to jest po francuzku:

— A teraz słuchamy cię kochana pani.

Była to chwila niecierpliwie przeze mnie oczekiwana. Pani de N. przetarła czoło swą białą dłonią, jak gdyby tym zręcznym ruchem chciała dopomódz myśli i przywołać wspomnienia, powiodła aksamitnem spojrzeniem po słuchaczach i zaczęła opowiadanie.

Wiecie kochani przyjaciele, że cztery lata temu, moje dwie córki wyszły za mąż za najlepszych i najzacniejszych ludzi. Znaglona zwyczajem przyjętym u nas w ogóle, udałam się z memi pieszczotkami do Paryża, dla dokończenia wyprawy, choć nie wątpię że w Madrycie można było dostać wszystko równie ładne, a nawet równie drogie, jak w nadsekwańskiej stolicy. Lecz cóż by powiedziano i pomyślano o nas gdybyśmy się uchyliły od formy tak ogólnie przyjętej i należącej do dobrego tonu? Wsiadłszy więc na północną kolej puściłam się w podróż, z tą nieokreśloną wesołością jaka mimo woli i wiedzy opanowywa wyjeżdżających za granicę dla rozrywki. Trudno się oprzeć urokowi nowości i tej myśli że wszystko co nas zwykle otacza, zmieni się zupełnie na pewien — choćby krótki przeciąg czasu, że jutro, pojutrze może usłyszymy język obcy, a jednak zrozumiały. A potem powrót, radośne powitania i atmosfera świeżości jaka długo jeszcze potem nas otacza; przynajmniej sami że to wszystko razem wzięte, w połączeniu z dobrze opatrzoną kieszenią, stanowi wielce przyjemną całość.

A jednak przyznać muszę iż w głębi duszy, byłam bardzo przygnębioną i smutną, smutek ten pochodził z dwóch głównych przyczyn, pierwsza z nich była myśl, iż podróż ta jest dla mnie wstępem do samotności i epilogiem wyłącznych i słodkich praw macierzyńskich. Myślałam że za powrotem do domu, między sercem moich dzieci ukochanych a mną, stanie dwóch ludzi, prawda najzacniejszych ale którzy sześć miesięcy temu nie istnieli nawet dla nas. Mam przekonanie, że dziewczynka, któraby się dobrowolnie zgodziła całe życie nosić krótkie sukienki i nie wychodzić z dzieciństwa, taka jedynie byłaby prawdziwie dobrą córką. Lecz niestety my matki powiedzieć sobie musimy, iż dzień w który dzieweczka po raz pierwszy o szarej godzinie usiądzie w otwartem oknie i patrzy w dal tęsknemi oczyma, że dzień taki mówię, zaczyna ograniczać naszą absolutną, macierzyńską władzę.

Drugi powód mej ukrywanej melancholii, był czysto wadą hiszpanki — a mówiąc otwarcie, przesądem. Należę do rzędu ludzi którzy twierdzą, iż raz w życiu tylko usprawiedliwić można ciekawość pędzącą nas, po za granice swego kraju, między ludzi obcych, obojętnie patrzących na smutki i radości nasze. Zwłaszcza teraz kiedy cieszymy się pełnią cywilizacyi i postępu, gdy w Madrycie mamy żywy obraz europejskiego zepsucia i zbytku, czemże jest podróż, jeśli nie najkosztowniejszem zmęczeniem? Podług mnie niewarto zmieniać trybu życia na to jedynie aby nic nowego nie zobaczyć.

Poznawszy więc jakiemi uczuciami miotane było serce matki i hiszpanki, nie zadziwicie się gdy powiem, że ze smutkiem prawie witałam Paryż, ukrywając jednak starannie własne wrażenia, by nie zachmurzyć jasnego nieba ukochanych istot, które w całej pełni szczęścia i zachwytu bynajmniej nie dzieliły moich uprzedzeń. Dwa tygodnie spędzone w nadsekwańskiej stolicy zeszły nam na ciągłych odwiedzinach głównych sklepów i magazynów, to też gdy nadeszła chwila wyjazdu, pakunki nasze okazały się być olbrzymich rozmiarów, co nie pojęcie cieszyło moje córki, wzdychające do rychłego powrotu, gdyż przyszli zięciowie moi zarzucali nas listami z prośbą o rychły powrót. Ja jednak z dniem każdym więcej czułam przedświt osamotnienia i mimo woli zagłębiałam się w uczuciu samolubnej zazdrości.

Wsiadłszy znów na odchodzący pociąg, stanęłyśmy na granicy Francyi. Wiecie jaki tu los spotyka wracających z Paryża do Madrytu; najpierw przystanek co w podróży jest zawsze przeciwnością, zwłaszcza gdy się czujemy w blizkości domu własnego; potem obiad mający pocieszyć podróżnych, wreszcie konieczna zmiana banknotów francuzkich na hiszpańskie złoto. Przyznać muszę że przez zapomnienie wywiozłam z Paryża dwa tysiące franków, które tutaj dopiero wypadało mi zmienić ale natłok w około kantoru był tak wielki, iż nie mogłam marzyć o rychłem dostaniu się do kasy; czekałam więc cierpliwie na uboczu aż moja kolej nadejdzie, gdy tuż przy mnie stojący nieznajomy młodzieniec ofiarował mi uprzejmie swoją pomoc.

Powierzchowność jego ze wszech miar wzbudzała zaufanie, a że właśnie dał się słyszeć świst lokomotywy, nie pozostało mi jak przyjąć przysługę, co też uczyniłam z wdzięcznością. Po krótkiej chwili, uprzejmy młodzieniec powrócił a oddając mi zmienione pieniądze, odpowiedział zręcznie na ponowione podziękowania. W tem odgłos dzwonka rozległ się w powietrzu, podróżni zaczęli tłumnie powracać na niedawno opuszczone miejsca, nasz nieznajomy podał mi rękę i z równą uprzejmością zaprowadził do zajmowanego przez nas wagonu, lecz gdy wsiadłszy chciałam pożegnać go ukłonem, zdziwienie moje wzrosło niemało, widząc że chwilowy nasz towarzysz zabiera się do zajęcia jednego z wolnych miejsc w tymże samym wagonie, przyczem objaśnił nas że udając się w stronę Madrytu, jest bardzo wdzięczny losowi, który pozwala mu odbyć tę podróż wraz z nami. Zachowanie się młodego Francuza było tak pełne prostoty i uszanowania, że wkrótce zawiązało się między nami, to zwykłe zbliżenie bez następstw, ta parodya przyjaźni jaka częstokroć łączy podróżujących wspólnie.

Bo cóż naturalniejszego jak rozmowa wszczęta między osobami choćby całkiem sobie obcemi, które znaglone okolicznościami żyją tem samem życiem choćby przez kilka godzin tylko?

Jak dla mnie towarzysz nasz był typem człowieka mogącego się podobać. Wysoki, zręczny, o bujnych blond włosach, jasnem spojrzeniu swych oczów błękitnych jak niebo mej ukochanej Andaluzyi. Niewielki zarost osłaniał z lekka ładnie zarysowane usta koralowej barwy, nadające całości tej twarzy wyraz zdrowia i młodości. Krótkiem przelotnem spojrzeniem objęłam ujmującą całość tej postaci, uprzedzającej nader korzystnie o moralnej wartości człowieka. Każdy szczegół podróżnego stroju, pełen wykwintnej elegancyi i dobrego gustu, wrócił mimo woli moją uwagę, nawet wązki łańcuszek od zegarka, lśniące rękawiczki, arystokratyczny kształt nogi opatrzonej w cienkie obuwie, wszystko jednem słowem przekonywało mnie co raz mocniej iż był to niepospolity młodzieniec, należący do wybranych warstw społeczeństwa. Doświadczenie czterdziestoletniej kobiety i hiszpanki nie pozwoliło mi o nim wątpić. Domysły moje potwierdzone zostały gdy w rozpoczętej rozmowie, towarzysz nasz rozwinął cały wdzięk rozumu niepospolicie wykształconego; wyrażał się jasno i zwięźle lecz z tym niezrównanym wdziękiem, jaki posiadają tylko wybrańcy natury.

Miał imię Edmund, najpiękniejsze imię pod słońcem. Zwolna opowiedział nam iż był sierotą od dzieciństwa, własnem staraniem zdołał ukończyć studya uniwersyteckie, teraz zaś pracuje jako inżynier przy budowie kolei, co mu zapewnia przyzwoite utrzymanie. Udawał się do Hiszpanii w celu odwiedzenia bogatego stryja, który dowiedziawszy się o istnieniu siostrzeńca, wzywał go właśnie do siebie. Ja z mojej strony objaśniłam go jak tylko mogłam najrychlej, o przyczynie naszej podróży i wyjątkowem położeniu moich córek — lękając się by nie powziął względem której z nich jakich zamiarów, gdyż byłabym niepocieszoną, gdyby z naszej przyczyny ten zacny młodzieniec miał zakłócony spokój w przyszłości.

Lecz słowa moje nie zdawały się czynić na nim żadnego wrażenia, owszem podwoił jeszcze swą dla nas grzeczność, tak że musiałam zrozumieć że oczy jego zwrócone były ku tej, na którą zwykle najmniej patrzano, to jest ku matce, słowem ku mnie. A jak te oczy patrzały! Było w nich wszystko co jasno mówi kobiecie: „Zachwycasz mnie pani.“ Było to jedno z tych spojrzeń za pomocą których przebywa się trudne i najwięcej nie zdobyte drogi, prowadzące do serc kobiecych. Mam przekonanie że główną zasadą szkoły Don Juan'ów, jest nauka wymowy spojrzenia i niedarmo Owidyusz tak ją cenił i zalecał.

Nadeszła chwila gdy opowiadaniu memu towarzyszyć musi rumieniec wstydu, lecz kiedy raz mówić zaczęłam, spowiedź musi być całkowitą. Z początku starałam się chłodną obojętnością odpierać przenikliwe spojrzenia niemego napastnika, przyzywałam na pomoc czterdziestoletnie doświadczenie, lecz im

dłużej te dwie ogniste źrenice utkwione były w mej twarzy, tem więcej coraz wyraźniej czułam że oczy te mówią słowa, które usiłowałam nie rozumieć: „kocham cię“ i na próżno oczy moje odpowiedzieć chciały: „Dość tego, czyż nie widzisz że jestem już tak niemłodą? Nie bądź śmieszny i nie trać czasu daremnie.“

Gdy skończyłam jego nieubłagane źrenice powtarzały znów: „kocham cię.“

Lecz najsmutniejszą stroną tej niemej sceny było, że jakiś głos wewnętrzny zaczął mi szeptać, iż miłość ta mogła być szczerą i że w takim razie, potrafiłabym na nią odpowiedzieć. Zapragnęłam wreszcie dokładnego wyjaśnienią rzeczy, które noc przyniosła mi wkrótce. Około 10-tej godziny wieczór, gdy zaledwie godzina czasu dzieliła nas od Mirandy, rozmowa stawała się coraz mniej ożywioną, wreszcie córki moje owinąwszy się ciepłemi szalami, zasnęły w głębi wagonu.

Młody Francuz powstawszy osłonił zapaloną lampę firanką i zbliżając się ku mnie rzekł półgłosem:

— Chciej pani posłuchać mnie chwilę.

— Słucham pana — odparłam wskazując mu próżne miejsce obok siebie — a gdy usiadł dodałam nie bez wysiłku: spodziewam się że to co mi pan chcesz powiedzieć jest godne ciebie i mnie.

— Sama pani osądzisz — odrzekł spokojnie — myślę jednak że dotąd nie dałem jej powodu do mniemania iż zdolny jestem popełnić lekkomyślność. Nie jestem okolicznościowym bohaterem, ani nierozważnym młodzikiem, to też nie powiem pani że cię uwielbiam, iż wznieciłaś w mem sercu uczucie namiętne, które gdy raz owładnie naszą istotę, rządzi nią wszechwładnie przez całą przyszłość. Wiem także czem winna być rozmowa między człowiekiem honoru a kobietą taką jak pani. Pragnę tylko zanieść jedną prośbę o szczerości której nie raczysz wątpić.

— Mów pan — odparłam.

— O pani — rzekł z przejęciem zbliżając się do mnie — wielką mi czynisz łaskę chcąc słuchać do końca cierpliwie. Jedyna prośba, jedyne pragnienie moje jest, byś raczyła przyjąć zapewnienie najgłębszej czci i uwielbienia i abyś w zamian zaszczyciła mnie swą przyjaźnią, którą cenić będę jak skarb najdroższy. Pragnę by chwila rozstania, nie była dla nas ostatecznem pożegnaniem, by drzwi domu twego nie zamknęły się dla mnie gdy stanę w jego progach. A może kiedyś widząc przywiązanie bez granic, uznasz pani za stosowne nagrodzić je głębszem uczuciem. Oto i cała prośba moja, jeśli za daleko posunąłem śmiałość — jakże ukarzesz mnie pani?

— Dając panu z całego serca to czego pragniesz, przyjaźń szczerą i szacunek na jakie niewątpliwie zasługujesz. Dom mój będzie zawsze dla ciebie otwarty, lecz przestąpiwszy jego progi, poznasz iż jestem niczem więcej jak tylko istotą bardzo pospolitą, przykutą do taczek codziennego życia, obowiązkami matki i gospodyni; nie idealizuj więc sobie zwykłej i niemłodej już kobiety, gdyż rozczarowanie nadejdzie zbyt szybko. Rozumiesz mnie młody przyjacielu?

— Tak pani rozumiem i uwielbiam cię! zawołał z nieopisanym zapałem, przysuwając się do mnie tak blizko iż uczułam jak ręka jego musnęła suknię moją. Oh! nie powinnaś pani mniemać, że stanęłaś już u celu istnienia, gdyż nie domyślasz się czem będzie dla ciebie samotność i osierocenie w jakiem cię Opatrzność wkrótce postawi. Dotąd żyłaś życiem poświęcenia, żyłaś dla drugich, teraz należy ci się od losu nagroda za tyle zacnych trudów i szlachetnej pracy. Nie wiesz pani co ci jeszcze przyszłość przeznacza, lecz spodziewam się że wkrótce uczujesz potrzebę serca będącego twą wyłączną własnością, zapragniesz rzeczywistego szczęścia — a wtedy wspomnij na prorocze słowa człowieka, który myślał że prócz pracy nigdy nic kochać nie będzie, a który dziś dopiero poznał, jak bardzo się omylił. Skończywszy mówić odszedł w najdalszy i najciemniejszy zakątek wagonu.

Ja tymczasem uczułam silne wzruszenie miotające całą mą istotą. A więc mogłam jeszcze wzniecić poważne uczucie w sercu zacnego człowieka? Nie poznawałam samej siebie. Ja która do tej chwili zachowałam w głębi duszy, ukochany obraz ojca moich dzieci, jedynego człowieka który niegdyś obudził gorącą miłość w mem sercu, ja którą bolesne wdowieństwo, poświęcenie matki uczyniły obojętną na wszelkie zewnętrzne wpływy obcych ludzi i okoliczności, ja jednem słowem, niemłoda i znękana kobieta, na sam widok tego młodzieńca, jego pięknej twarzy, wysmukłej postaci, na odgłos wyrzeczonych przez niego słów pełnych głębokiego przywiązania, uczułam że zamarłe struny serca zbudziły się i wydały dźwięk dawno niesłyszany. Czyż by się serce nigdy starzeć nie miało? Czyż nawet pod popiołem smutku i zimnego obowiązku tleje niekiedy iskra mogąca zmienić się w pożar miłości? I ja mogłabym rozpocząć nowe życie przy boku tego młodzieńca, który na sam widok resztek mej piękności uczuł...

— Miranda! dwadzieścia pięć minut, zmiana pociągu! Słowa te wymówione podniesionym głosem, wyrwały mnie z zamyślenia. Pan Edmund pomógł nam wysiąść, poczem oddalił się szybko w stronę innego pociągu, który nadszedł przed chwilą i właśnie miał w dalszą puścić się podróż; odchodząc objaśnił nas, iż tą drogą nadejść miały listy stanowiące o dalszej jego podróży. Moje pieszczotki przebudzone ze snu, pragnęły się posilić, poszłyśmy do bufetu i po skończonej kolacyi, prosiłam jednej z nich by z własnych pieniędzy zapłaciła podany rachunek: poczem powróciłyśmy do wagonu. Nasz towarzysz nie pokazał się więcej. Lokomotywa gwizdnęła, pociąg ruszył — młody Francuz więc, należał już do przeszłości. Po chwili milczenia zwróciwszy się do moich córek zapytałam:

— Zgadnijcie dzieci moje, kto był ten pan Edmund?

— Ja myślę — rzekła jedna — iż był to jakiś człowiek podejrzany, miał coś tak tajemniczego w oczach.

— Mnie się zdaje — wtrąciła druga — że mimo wszystkiego co nam o sobie opowiadał, jest on podróżującym komisantem jakiego handlu, wygląda trochę na kantorowicza.

— Ani jedno, ani drugie — rzekłam — pan Edmund jest najzwyklejszym oszustem prostym kieszonkowym złodziejem.

— Ależ to być nie może! wykrzyknęły obie — rzucając się ku mnie.

— A jednak tak jest w istocie, on to bowiem wyciągnął z mej kieszeni pugilares zawierający wszystkie pieniądze jakie mi jeszcze pozostały i dla tego prosiłam was o zapłacenie rachunku jaki nam podano w bufecie.

Dramat zmienił się nagle w krotofilę, obie pieszczotki moje wybuchły głośnym śmiechem, udałam jak mogłam najlepiej iż podzielam ich wesołość, lecz w głębi duszy wrzałam gniewem i wstydem. Rzeczywistość nie pozwoliła mi wątpić o prawdziwości faktu, plan był nader zręcznie usnuty i wykonany, kradzież popełniona w chwili najczulszych wyznań. Ręka która przesunęła się lekko po mojej sukni, czerpała w głębiach kieszeni. Czerpiący w niej filozof miał słuszność: nie wiedziałam jeszcze co mi los przyniesie, nie spodziewałam się że spotkam na mej drodze oszusta pod postacią zakochanego, który wskrzeszając w mem sercu pogrzebane uczucia ogałacał kieszeń z banknotów i błyszczących sztuk złota.

A jednak przy nim zapomniałam na chwilę o położeniu i wieku moim i zamarzyłam o nowem życiu, nowem szczęściu dla siebie. Kara była równie wielką jak przewinienie, lecz dla mnie nie była dostateczną, to też postanowiłam zwiększyć ją jeszcze opowiadając sama historyą mej ostatniej miłości. Skończyłam.

Wyznanie pani de N. wzbudziło w słuchaczach zapał nie do opisania, każdy wypowiedział myśl swoją i swój sposób zapatrywania się na rzecz całą. Jenerał chciał natychmiast jechać do Francyi w celu odszukania śmiałego oszusta, miljoner ubolewał nad losem stryja, mającego pana Edmunda za siostrzeńca, stary kawaler wymawiał pani de N. iż nie wzięła z sobą służącego, któremu powierzywszy pieniądze mogła być całkiem spokojną, gdyż zwykle nie okradają służących, dyplomata przypisywał rzecz całą wiekuistemu antagonizmowi jaki istnieje między Hiszpanią a Francyą, od czasu zwycięztw Napoleona...

Nagle otworzono drzwi salonu, lecz nie ukazał się w nich pan Edmund, był to tylko służący pani de N. który przyszedł oznajmić, iż właśnie wybiła druga godzina i że o takiej porze nasze paltoty nie miały już racyi bytu w przedpokoju. Autor tych kilku wierszy wyraża tu szczerą wdzięczność dla wiernego sługi, który przybyciem swojem uwolnił go od opowiadania historyi ostatniej miłości, gdyż przyszło by mu to tem trudniej, że dla niego, pierwsza nawet jeszcze nie istniała, co wyznał szczerze całując białą rączkę pani de N. i życząc jej dobrej nocy.

Przegląd literacki.

Wydawnictwa historyczne i pamiętniki. 1) Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, dzieło prof. H. Zeissberga, przekład z niemieckiego (pod redakcyą A. Pawińskiego) 2 tomy. Warszawa 1876. 2) Źródła dziejowe Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem (1576—1577), listy, instrukcye i uniwersały, wydał A. Pawiński. Tom IV. Początki panowania Stefana Batorego (1575—1577), listy, uniwersały i instrukcye wydał A. Pawiński. Tom V. Lustracye królewszczyzn w ziemiach ruskich Wołynia Podola i Ukrainy, wydał A. Jabłonowski. Tom VI. Opis zamków ziemi wołyńskiej, wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1877. 3) Opowiadania i studya historyczne przez K. Jarochowskiego. Warszawa 1877. 4) Stefana z Prószcza Medekszy, księga pamiętnicza wydarzeń zaszłych na Litwie 1656—1668 r. z rękopismu wydał dr. Seredyński. Kraków 1875. 5) Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Świdzińskiego. Tom III. Pamiętnik Jana Stanisława Poczobuta Odlanickiego (1640—1658). Warszawa 1877. 6) Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce przez Juliusza Falkowskiego. Poznań 1877. 7) Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Brockere, b. oficera b. legionów francuzko polskich, przełożone z oryginału niemieckiego przez córkę autora Paulinę Cybulską. Warszawa 1877. 8) Listy Słowackiego do matki, tom II, Lwów 1877.

(Dalszy ciąg).

Pozostawiając autorowi jego pogląd, możemy tylko powiedzieć, że łatwo to teraz rozprawiać, na podsta-

wie przypuszczeń i zdań warunkowych: „gdyby to się stało, gdyby tak się nie stało" i t. d. pole to niezmierzone dla wniosków i rozumowań, ale bezowocne, a może nawet i niezgodne z zadaniem rozumowanych poglądów na historyą, gdyż te mają być stosowane do wypadków i faktów rzeczywistych, nie zaś do urojonych przypuszczeń, do tego, co stać się *mogło* i t. p. Drugi szkic zawiera opowiadanie o również mało znanej kandydaturze księcia Jerzego duńskiego do tronu polskiego w czasie tegoż samego bezkrólewia. Kandydaturę duńską nazywa autor „najuczciwszą", gdyż król duński nie obiecywał tego, czego dotrzymać nie był w stanie; rozchwiała się zaś, gdy szlachta żądała od Danii za wiele pieniędzy i wojska na potrzeby Rzeczypospolitej. Trzecie opowiadanie zawiera szkic działalności politycznej i zmiennych kolei losu Jana Stanisława Jabłonowskiego, wojewody ruskiego. Dostojnik ten, syn słynnego hetmana, sam autor dzieła moralno-obyczajowego „Skrupuł bez skrupułu", w działalności swej politycznej był zmiennym, niestałym i sam mało na skrupuły zważał. Przerzucając się ciągle to na stronę Augusta II, to na stronę Leszczyńskiego, którego był wujem, zakończył swoją karyerę polityczną kilkoletniem więzieniem w twierdzy saskiej Kenigsztajnie, zamknięty tam z rozkazu Augusta. W czwartem opowiadaniu mówi autor o słynnej sprawie toruńskiej (1724) a raczej o pobudkach postępowania Augusta II w tej sprawie. Wiadomo, że wskutek zajścia jezuitów z mieszczaństwem, wywiązała się sprawa zakończona skazaniem na śmierć 10 mieszczan protestantów, w tej liczbie burmistrza Reznera i wiceburmistrza Zernekego. Wyrok śmierci został potwierdzony przez sejm i króla i wykonany 7 grudnia 1724 r. Zajście to wywołało wiele hałasu w Europie i jeszcze w 50 lat blizko potem król-filozof (!) Fryderyk II przypominał sprawę toruńską w swoim manifeście przed pierwszym podziałem Polski, jako jeden z powodów usprawiedliwiających zajęcie ziem polskich przez Prusy. Autor nie broni i nie usprawiedliwia srogości wyroku (która zresztą była zgodna z duchem i prawami owego czasu), ale na podstawie dokumentów, odkrytych w archiwum drezdeńskiem, trafnie dowodzi, że egzekucyą mieszczan przyśpieszył sam król August II, któremu zależało na tem, ażeby zadziwić Europę przykładem mniemanej nietolerancyi Polaków, a to dla tego że wtedy właśnie król polski prowadził z Piotrem W. i z Prusami układy o podział Polski. Pomimo wstawiennictwa dworów zagranicznych, August II nietylko że nic nie uczynił, ażeby użyć swego prawa łaski, ale nawet kłamliwie zapewniał obcych monarchów, jakoby prawa łaski nie posiadał, a jednocześnie udaremnił nawet zabiegi nuncyusza papiezkiego, który usiłował ocalić Reznera i Zernekego.

W piątem opowiadaniu przytoczona jest sprawa jeszcze ciekawsza, mało znana, mogąca stanowić pendent do powyższej, a zarazem będąca dowodem smutnego stanu upokorzenia Rzeczypospolitej za Sasów. Król Pruski Fryderyk-Wilhelm, tem sam właśnie który ujmował się za osądzonych torunian, ten sam, który bił własnoręcznie kijem wszystkich, który o mało że nie skazał na śmierć własnego syna i następcę, który urządził słynne „kolegium tabaczne", miał jeszcze, jak wiadomo i tę pasyą, że wyszukiwał wszędzie ludzi olbrzymiego wzrostu do swojej gwardyi. Ajenci jego kupowali olbrzymów i polowali czasem na nich, zabierając podstępem i gwałtem. W sąsiednich ze swem państwem ziemiach polskich brandeburczycy chwytali ludzi rosłych, nie troszcząc się o prawo międzynarodowe, a czasem kupowali od panów, których niekiedy król pruski więził za niedotrzymanie zobowiązania się dostawy olbrzymów (jak Pancerzyński i inni więzieni w Królewcu 1733 r.). Otóż gdy w 1740 r. Prusacy porwali chłopa wysokiego wzrostu, należącego do klasztoru w Paradyżu (około Miedzyrzecza), a opat klasztoru rozkazał za to uwięzić dwóch kupców brandeburskich, król pruski wysłał oddział wojska, który zrabował i sprofanował klasztor wraz z kościołem. Całą sprawę opisał autor na podstawie autentycznych dokumentów. Pomimo krzyków oburzenia i protestów, Rzeczpospolita nie otrzymała za ten gwałt żadnego zadość uczynienia: wiadomo, że w owych smutnych czasach, kiedy to Polska „nierządem stała", sąsiedzi pozwalali sobie wszelkich względem niej nadużyć, nie troszcząc się o bezsilnego króla i sejmy. Zresztą, smutno wyznać, król pruski posiadał niezawodny środek uciszenia hałasu i przekupiona przez niego szlachta zrywała sejmiki prowincyonalne i wskutek tego nie wysyłano na sejm posłów z pokrzywdzonej przez Prusaków okolicy. Tak właśnie stało się i po sprawie paradyzkiej i sejmik w Środzie był zerwany i na sejmie 1741 r. brakło posłów z Poznańskiego.

Nakoniec szóste i ostatnie opowiadanie „Zamach Augusta II na Warszawę" drukowane dawniej w Ateneum„ przedstawia bardzo szczegółowo opowiedziany, jeden ustęp z wojen Augusta z Karolem XII i Stanisławem Leszczyńskim, a mianowicie krótkotrwałe zajęcie Warszawy przez Augusta we wrześniu 1704 r.

Do działu pamiętników historycznych wypada także zaliczyć wymienioną w nagłówku pracę Juliusza Falkowskiego, „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce." Pod względem literackim niewielkiej to wartości dzieło: układ wadliwy, nieproporcyonalny, tu i owdzie ckliwa rozwlekłość i niepotrzebne deklamacye; styl już to ciężki już to przesadny, a i językowi wiele jest do zarzucenia. Pod względem oryginalności i nowości podawanych szczegółów zasługa autora również nieznaczna: już bowiem krytyka wykazała dokładnie, że p. Falkowski po większej części przepisywał z pamiętników Wybickiego, Koźmiana, Nakwaskiej, z Morawskiego Dziejów porozbiorowych i z innych dzieł drukowanych. Pomimo to wszystko jednakże, ze względu na treść książki, coraz to mniej dzisiejszemu pokoleniu znaną i zacierającą się w jego pamięci, możemy przypisać jej pewną wartość. W całej książce zawierają się trzy szkice czyli obrazy. Pierwszy najobszerniejszy, nosi tytuł: „Zofia Lubomirska z domu Krasińska i jej synowica Franciszka Krasińska „tu mamy szczegóły z życia pierwszej z wymienionych matron i Franciszki, żony księcia Karola Kurlandzkiego; o tej ostatniej zresztą niewięcej jak w znanym utworze Hoffmanowej z Tańskich: „Dziennik Franciszki Krasińskiej". Przesuwają się tu nadto przed oczami czytelnika inne postacie dziejowe z rodziny obu niewiast: Krasińscy, Lubomirscy, Tarłowie, a również Czartoryscy i Poniatowscy. Czasem autor myli się nawet w nazwiskach i rodowodach osób. Drugi obrazek, podobno najudatniejszy, poświęcony jest czasom pruskim w Warszawie, chociaż i tutaj znajdujemy wiele rzeczy, znanych ze wspomnień Wojcieckiego i innych. Nakoniec w trzecim obrazku mówi autor o pobycie Napoleona w Warszawie, o wojnie poprzedzającej założenie Księztwa i o dwuznacznej i uległej polityce Napoleona względem Polaków.

(d. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Miłosławie Z. w Kulanowie. Za serdeczne współczucie dla Przyjaciela Dzieci, równie serdecznie dziękujemy. Wpływ jego zbawienny cieszy nas niewymownie: utrzymanie z czytelnikami jego poczciwego związku, jak nazwany został, pełnego zaufania jakiem podobno nie zaleca się żadne pismo zagraniczne, jedynem jest i będzie staraniem Redakcyi. Korespondencye też prawie ciągle powiększają się, radość to niemała dla Przyjaciela.

Nowe wydawnictwa.

Bądź wola Twoja, modlitwy i rozmyślania na wszystkie dni tygodnia i miesiąca, na wszystkie uroczystości kościelne i na wszystkie okoliczności życia, ułożone przez kapłanów i Świętych katolickiego kościoła, ku czci i chwale ukrzyżowanego Chrystusa, z różnych źródeł zebrała i własnemi uzupełniła Józefa Kamocka. Książka ta do nabożeństwa wydana nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, przygotowaną została w dwóch egzemplarzach, przeznaczonych wyłącznie dla kobiet lub mężczyzn.

Świeczniki chrześciaństwa, obraz Siemiradzkiego, odbity z drzeworytu w niezwykłych dotąd rozmiarach, dany został prenumeratorom Tygodnika illustrowanego jako premium. Jest to praca z niezmierną starannością i dokładnością dokonana, pierwsza tego rodzaju jaka się w wydawnictwach naszych okazała. Chlubę ona przynosi nietylko sztuce naszej drzeworytniczej, ale i wydawcy panu Gracyanowi Ungrowi, który niemałe poniósł koszta, niemało zażył trudów i mozołu zanim obdarzył nas tak pięknym podarunkiem.

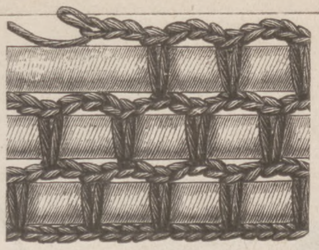
Zawiadomienie.

Tydzień, czasopismo miasta Piotrkowa i gub. Piotrkowskiej od dnia 1 Lipca r. b. przeszło na własność p. Mirosława Dobrzańskiego, który starając się połączyć przyjemne z użytecznem dołącza do każdego zwyczajnego numeru poświęconego sprawom i wiadomościom miejscowym, dodatek z najnowszemi i najlepszemi powieściami tak oryginalnemi jak i tłomaczonemi. Cena prenumeracyjna wynosi kwartalnie kop. 75, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 10.

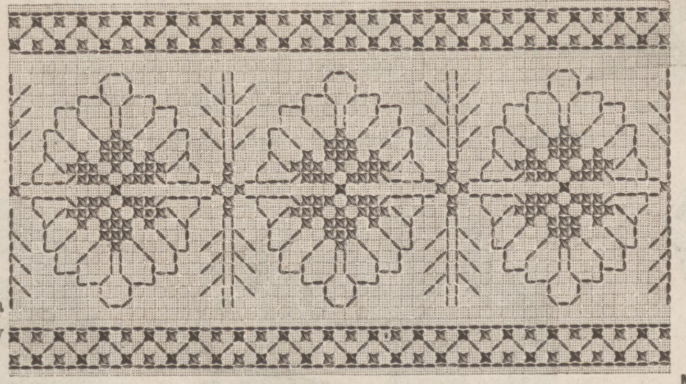
Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 29 Іюня (11 Іюля) 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

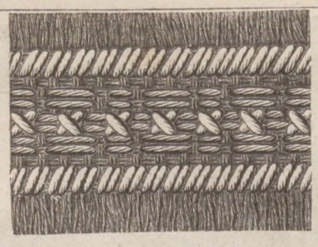
Dodatek.



N. 1. Robota szydełkowa na rozłupanej trzcinie do torby ryc. 6 w N. 27.



N. 3. Szlaczek do płaszcza do kąpieli ryc. 10 w N. 27. Ścieg krzyżowy i na dwie strony.



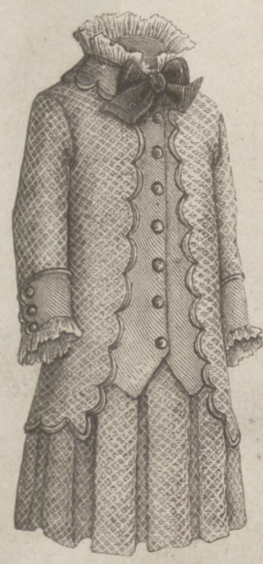
N. 2. Szlaczek wyszyty na kanwie jawa do ryc. 6 w N. 27.

Opis do N. 27.

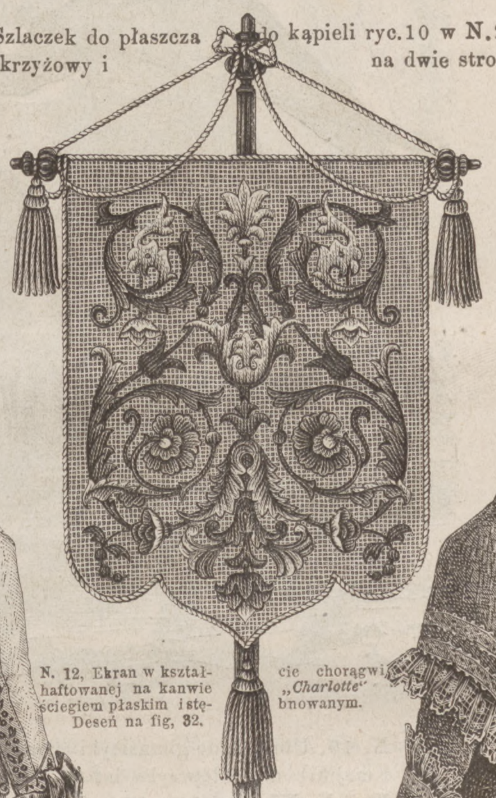
(*Dokończenie*)

Tak wyciągniętą nitkę, nawłóczy się w igłę od kanwy, i przewłóczy przez miejsce opróżnione po nitce przez całą długość wyciągniętej, jak to wskazuje strzałka na próbce 26. Opróżnione zaś kwadraciki w pasach kratki, przeciąga się skośnie nitkami i obrabia filozelą, jak tego uczy próbka N. 24.

Nagłówek frendzli 11 cent. szerokiej, wiązany jest sposobem macramé, węzłami podwójnemi, jeden na prawą drugi na lewą stronę. Na kwaściki związuje się węzłem 4-ry nitki, dodaje się jeszcze 4-ry nitki oddzielne, które przekłada się przez węzeł i okręca filozelą, w sposób wskazany na ryc. 25. Na dodanie używa się nitek z kanwy wyciągniętych, które na próbkach odznaczają się kolorem ciemniejszym.



N. 4. Kaftanik z kamizelką i spódniczka fałdowana dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. VIII, Fig. 35—43. Zobaczyć plecy na ryc. 5.



N. 12. Ekran w kształcie chorągwi haftowanej na kanwie „Charlotte" ściegiem płaskim i stębnowanym. Deseń na fig. 32.



N. 5. Plecy do sukienki dla dziewczynki lat 3—5 przód na ryc. 4.

N. 30—31. Spódniczki niedostające do ziemi.

Obie spódniczki mają po jednym kliniasto ściętym brycie przednim dwa kliny i jeden prosty bryt tylny; szerokość dolna wynosi 236 górna 106 cent.

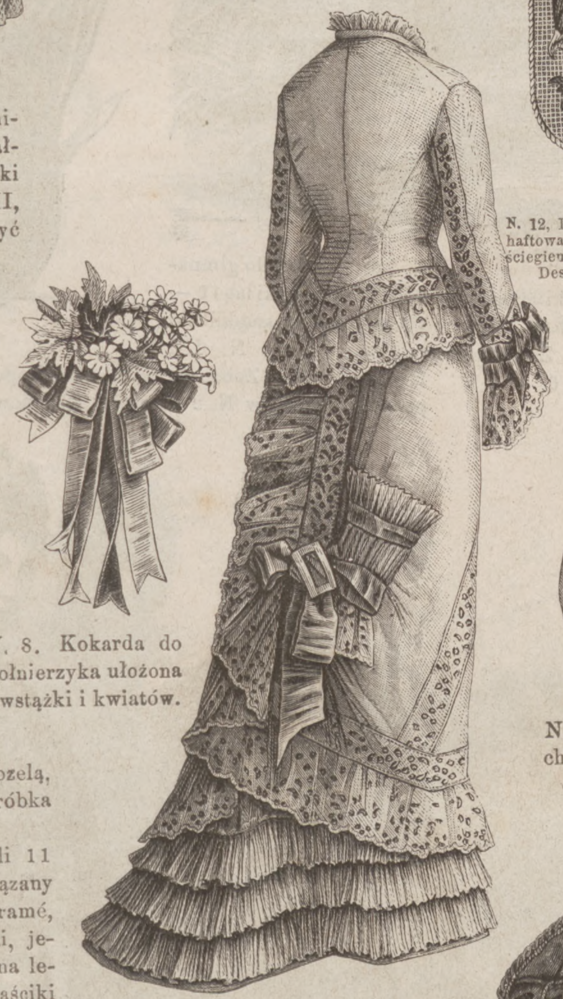
N. 30. Spódniczka czarna alpagowa.

Oszyta jest plisą 6 cent. szeroką daną na muślinowej podszewce, przez środek plisy wstębnowane jest 6 cienkich sznureczków, brzegi oszyte jasnopopielatemi wypustkami i 4 cent. szerokiemi w kontrafałdki ułożonemi nagłówkami, które także objęte są popielatą wypustką.

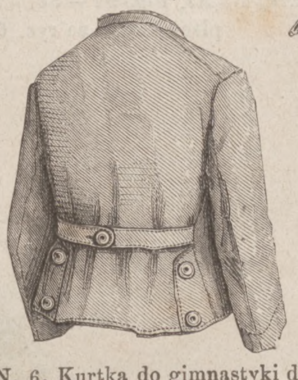
N. 31. Spódniczka z ponsowego wełnianego materyału.

Ozdobiona jest 10 cent. szeroką, drobno plisowaną falbaną niedochodzącą 4 cent. dołu; oszytą wązką niciana koronką; nad plisowaniem przyszyte dwie wązkie pliski, przedzielone koroneczką.

N. 8. Kokarda do kołnierzyka ułożona z wstążki i kwiatów.



N. 10. Suknia batystowa z tuniką i ze stanikiem z baskiną.



N. 6. Kurtka do gimnastyki dla chłopczyka lat 10—12. Zobaczyć przód na ryc. 19.

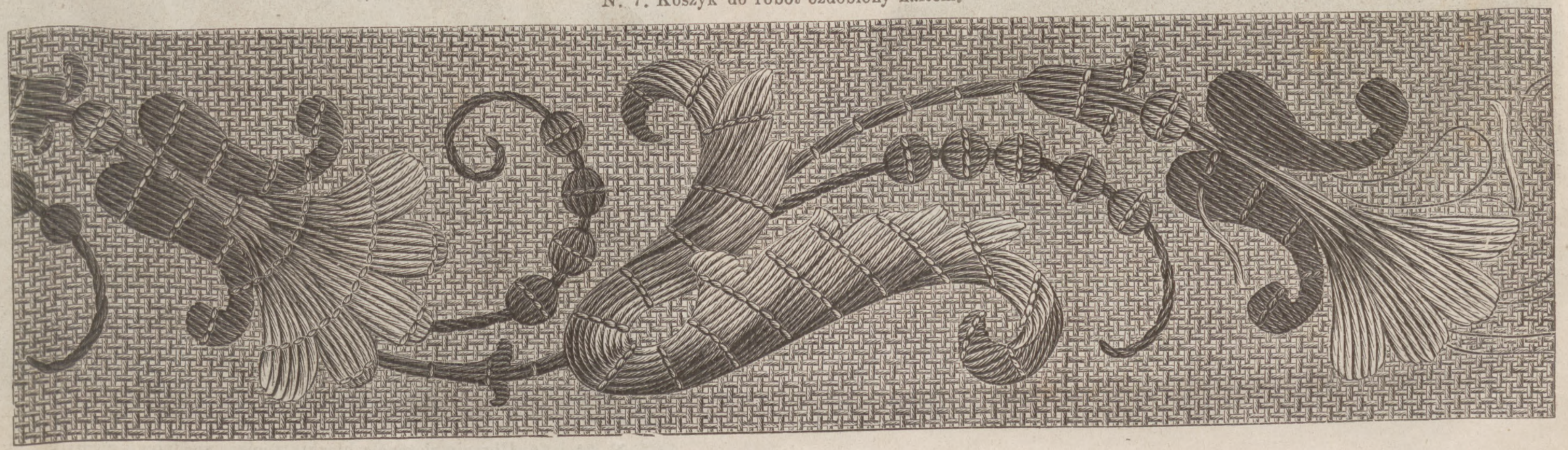


N. 11. Ubranie złożone ze spódnicy, tuniki bluzki i mantylki. Krój N. VII, Fig. 23—31-a. Zobaczyć także ryc. 25 i 26 oraz ryc. 40 w N. 27.

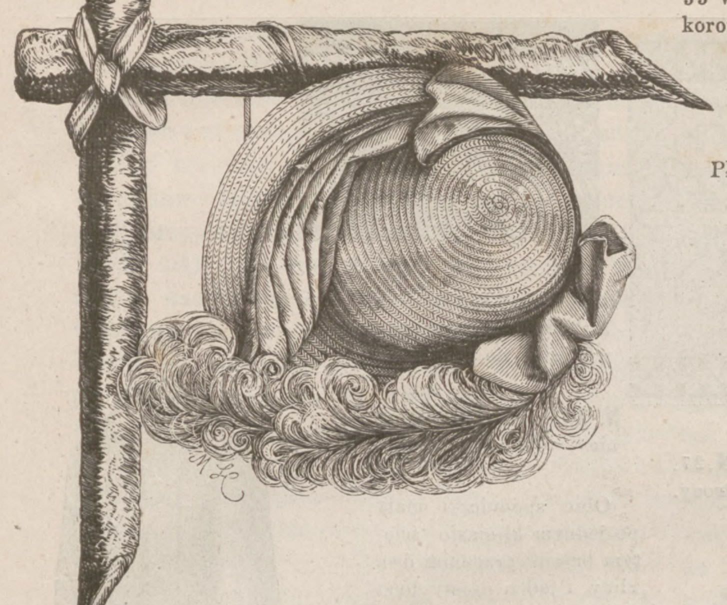
N. 9. Kokarda z wązkiej wstążki do sukni albo do kołnierzyka.



N. 7. Koszyk do robót ozdobiony haftem.



N. 13. Szlak na wałki pod głowę, poduszki i t. p. Haft płaski i stębnowany na kanwie zwanej „Charlotte".



N. 14. Kapelusz z wysoką główką.

N. 32—33. Paletocik z fałdowaną częścią dolną, dla dzieci lat 2—4. Krój N. XIV. Fig. 58—63-b.

Biała wiktorya, pika albo dymka, służyć może na taki paltocik, którego plecy złożone z kilku części, dopełnia od dołu część fałdowana, 70 cent. szeroka a 13 cent. długa, którą układa się w kontrafałdy, wszywa w listewkę i przyczepia do dołu pleców pod garnirunkiem. Pikowy paletocik przedstawiony z przodu na ryc. 32, ozdobiony jest haftowaną wstawką i szlaczkiem, 3 cent. szerokiem; małe wypukłe guziczki pokryte piką, służą do zapięcia i do ozdobienia kieszonki i mankietów. Na ryc. 33 widzimy paletocik z wiktoryi lub batystu, ozdobiony koronką i wstawką niciana, pod którą można podłożyć wstążkę kolorową.

N. 34. Płaszczyk dla dziecka noszonego na ręku. Krój N. XV, Fig. 64—68-b.

Płaszczyk z piki białej repsowej, mający 225 cent. szerokości a 95 długości, zeszywa się z brytów prostych, z których po 58 cent. bierze się w kontrafałdy i wszywa w karczek przykrojony podług Fig. 64 i 65. Pelerynę razem z wykrojem karczka, obejmuje się wązką listewką. Do przyozdobienia płaszczyka służą szlaczki haftowane bawełną kolorową na batyście, na które deseń znajduje się na Fig. 68-a, i koronka niciana 5 i 2 cent. szeroka wywodzona kolorową bawełną.



N. 19. Ubranie do gimnastyki (kurtka i majtki) dla chłopczyka lat 10—12. Krój N. XI, Fig. 51—53. Zobaczyć plecy kurtki na ryc. 6.

N. 20. Ubranie do gimnastyki dla panienki lat 10—12 złożone ze spódniczki i bluzki. Krój N. IX, Fig. 44—46. Zobaczyć przód na ryc. 3 w N. 27.



N. 17. Kapelusz dla małej dziewczynki.

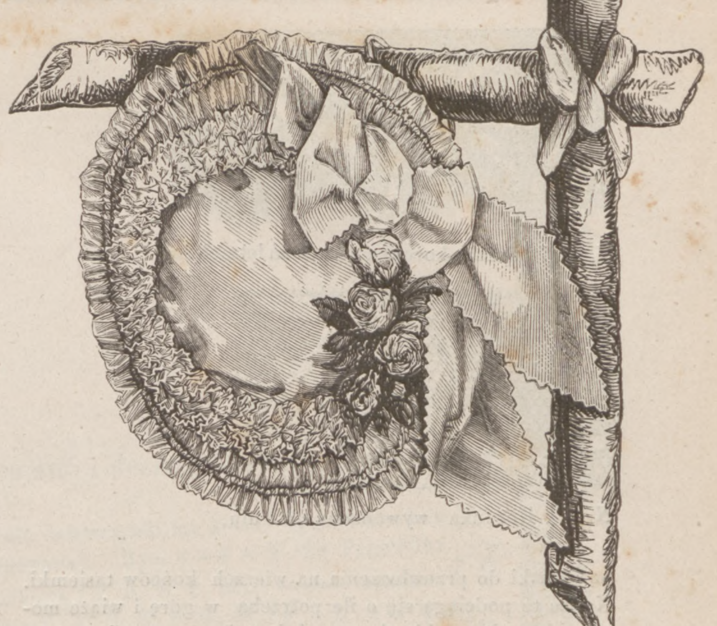
N. 16. Kapelusz z szerokiem rondem i kołnierzyk chusteczkowy. Krój kołnierzyka patrz ryc. 37.

N. 18. Kapelusz marynarski dla dzieci.



N. 21. Sukienka pricesse dla małej panienki, krój podług ryc. 1 w N. 22 Tygodnika.

N. 22. Bluza dla chłopczyka lat 4—6. Krój N. XII, Fig. 54—55.



N. 15. Kapelusz z białego batystu.

N. 35—36. Suknia z tasiemkami do podnoszenia trenu.

Na lewą stronę odwrócona spódnica pozwala rozpatrzyć się dokładnie, w jaki sposób trzeba urządzać pentelki i tasiemki służące do podnoszenia trenu. Środek długiej tasiemki przyszywa się do listwy sukni, jeżeli tren wszyty jest oddzielnie pierwsze pentelki dają się przy tem wszyciu z boków, a przy nie rozcinanym trenie przy pierwszej listewce do ściągania; drugie i trzecie pentelki przyszyte w równych odstępach ku paskowi, w którobione



N. 23. Strojne ubranie. Zobaczyć tył sukni na ryc. 24. Krój N. I, Fig. 1—7.



N. 25 i 26. Ubranie złożone z bluzki, tuniki, spódnicy i mantylki. Krój N VII, Fig. 22—31-a. Zobaczyć ryc. 11

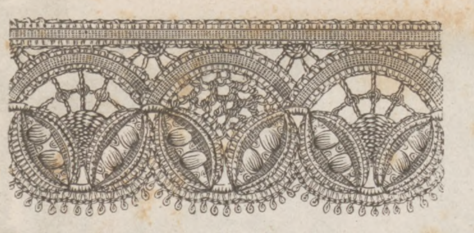


N. 27. Suknia muślinowa z bluzą, i tuniką. Krój podług ryc. 21 w N. 26. Wzory koronek ryc. 29—32.

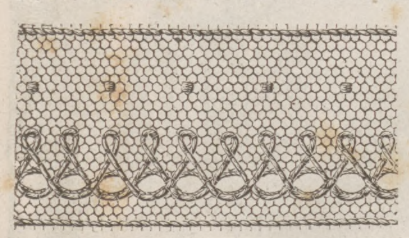
N. 28. Ubranie z paltocikiem i tuniką szalową. Zmniejszony rysunek tuniki N. XVI, Fig. 71.



N. 24. Strojne ubranie złożone ze spódnicy z wszytym trenem i stanika z długą baskiną i draperyą krajaną razem z plecami. Zobaczyć przód na ryc. 23.



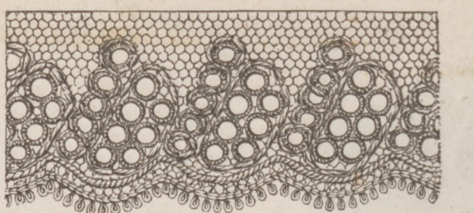
N. 29. Irlandzka koronka do sukień letnich itp.



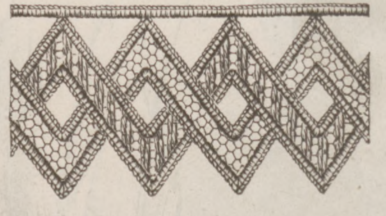
N. 31. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 33. Uczesanie dla młodej osoby i szeroki kołnierz koronkowy. Odpowiedni mankiet patrz ryc. 34.



N. 30. Koronka wywodzona na tiulu do sukień letnich, chusteczek i t. p.



N. 32. Koronka dziergana i wywodzona na tiulu.

są dziurki do przewleczenia na wierzch końców tasiemki. Końce te podciąga się o ile potrzeba w górę i wiąże mocno z przodu; takim łatwym i dogodnym sposobem tren podnosi się równo a za rozwiązaniem tasiemek opada na dół. Od spódu suknia podszyta jest falbaną ułożoną w kontrafałdy; próbka koronki szydełkowej znajduje się na ryc. 36.

N. 38. Porte-bouquet z broszką.

Ładnym pomysłem mody jest używanie świeżych kwiatów do sukień i kapeluszy, do czego niezbędne są broszki i agrafy z obsadą do włożenia bukietu.



N. 35. Kapelusz z wysoką główką dla małej dziewcz.



N. 45. Serweta ze szlakiem z kratki gipiurowej i kwadratów wyszytych ściegiem krzyżykowym. Patrz ryc. 24—26 w N. 27. Tyg.



N. 36. Kapelusz zpłaskągłówką dla małej dziewczynki.



N. 37. Kołnierz chusteczkowy. Patrz ryc. 38. Krój na arkuszu N. II, Fig. 8—9.



N. 39. Kołnierz formą kwadratowej szmizetki. Patrz ryc. 40—42. Krój N. III, Fig. 12.



N, 38, Mankiet odpowiedni do ryc, 37, Krój na arkuszu N, II, Fig, 10—11,



N, 40, Mankiet odpowiedni do ryc, 39, Krój na arkuszu N, III, Fig. 13,

Jak to widzimy na ryc. 38, ogonki kwiatów owinięte są w papier ołowiany i wsunięte w skręconego węża przymocowanego do broszki, którą przypina się bukiecik do kapelusza lub do krawatki.

N. 39. Poduszka z trenem, jako ubranie do chrztu dla niemowlęcia. Krój N. XVI, Fig. 69—70.

W miejsce garnirunków jakie zwykle zdobią zwierzchnią część czyli kołderkę poduszki, do górnego brzegu takowej fastrzyguje się rodzaj długiego płaszczyka czyli trenu. Fig. 69 podaje zmniejszony rysunek i miary poduszki przy której kołderka odznaczona jest kreseczkami. Powłoczki perkalowe albo batystowe kraje się w jednej długości; boczne części do których się przyszywa szarfy albo wstążki do wiązania, krają się oddzielnie podług modelu oznaczonego literą *b*, i wszywają pomiędzy boczne szwy powłoczki. Górna, zaokrąglona część poduszki ozdobiona jest odpowiednim przykryciu garnirunkiem, któren kłada się z bufy tiulowej 5 cent. szerokiej oszytej wstawką koronkową i z tiulowej 7 cent. szerokiej falbany oszytej koroneczką. Przykrycie składa się z bufek tiulowych, wstawek koronkowych i falbany takiej jak przy poduszce, które dopasować trzeba podług wzoru i miar podanych na Fig. 70. Na modelu wstawki podwleczone były kolorową wstążką; można także pod całe przykrycie dać fularową podszewkę. Na przewiązania i kokardy służy wstążka atłasowa lub repsowa.



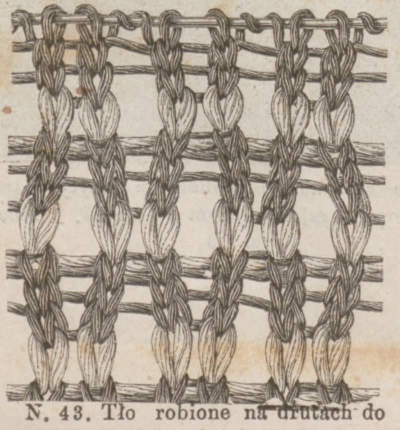
N. 34. Mankiet koronkowy do kołnierza ryc. 33.



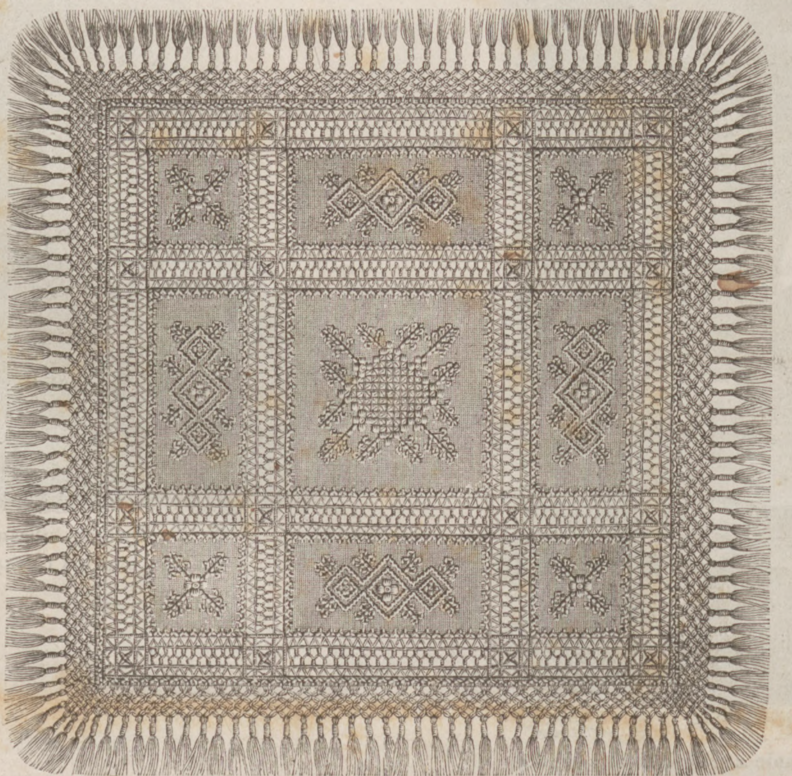
N. 41. Wszywka wywodzona na tiulu do ryc. 39.



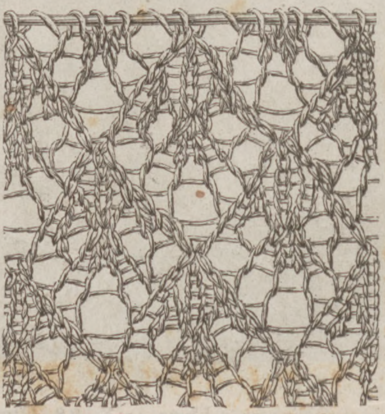
N. 42. Wszywka wywodzona na tiulu do ryc. 39.



N. 43. Tło robione na drutach do chustek włóczkowych.



N. 46. Serweta z kwadratów wyszytych na kanwie płóciennej, rozdzielanych gipiurową kratką. Patrz ryc. 22—23 w N. 27 Tygodnika.



N. 44. Tło robione na drutach do chustek włóczkowych i t. p.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. I. Suknia ze stanikiem z długą baskiną i draperyą krajaną razem z pleckami. Ryc. 23—24 w N. 28. Spódnica z trenem oddzielnie wszytym.

Miara połowy górnej objętości stanika 53, w pasie 36 centymetrów.

Fig. 1. Przód (A, B, E, F, H, I, K, L, M, R, ╳ 1 . 1 do ╳ 3 . 3, jedno załamanie formy).

Fig. 2. Boczek (A, B, C, D, G, H).

Fig. 3. Część dolna dopełniająca przodek i boczek (B, E, F, G, 1).

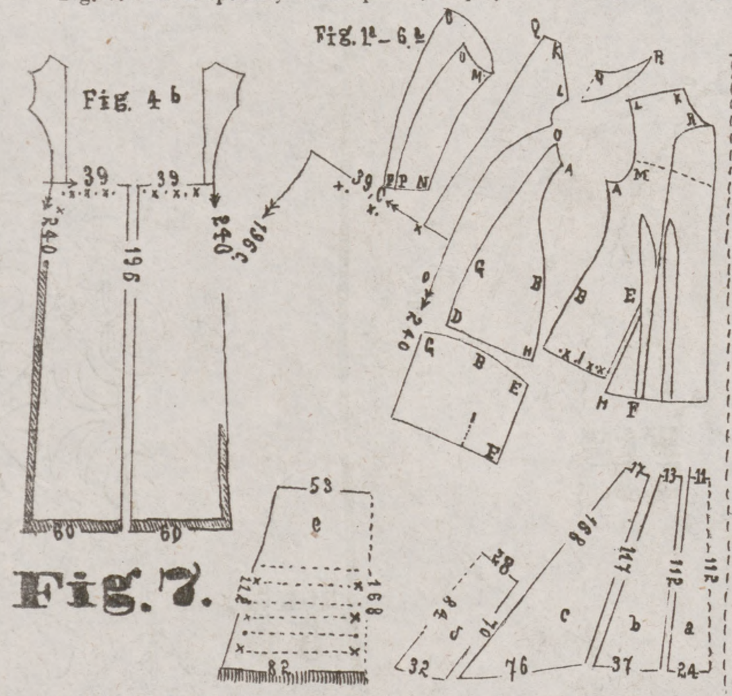
Fig. 4. Plecki wraz z brytem na draperyą z tyłu, któren podług miary przedłużyć trzeba od dołu (C, K, L, Q, ╳ 4).

Fig. 5. Rękaw (M, N, O, P).

Fig. 6. Połowa kołnierza (Q, R).

Fig. 1-a—6-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części stanika. Fig. 46 rysunek przedłużonych i zestawionych razem części pleców.

Fig. 7. Połowa spódnicy wraz z połową draperyi zdobiącej przód.



N. II. Kołnierzyk chusteczkowy i mankiet, ryc. 37—38 w N. 28 Tygodnika.

Fig. 8. Boczna część kołnierzyka chusteczkowego (S, T).

Fig. 9. Połowa pleców (S, T). * * * *

Fig. 10. Połowa dolnej części mankieta (U, V).

Fig. 11. Połowa górnej części mankieta (U, V).

N. III. Chusteczka szmizetkowa i odpowiedni mankiet. Ryc. 39—40 w N. 28 Tygodnika.

Fig. 12. Połowa chusteczki. × • × • × • × •

Fig. 13. Połowa mankieta. + + + + +

N. IV. Płaszczyk z kapturkiem dla niemowlęcia. Ryc. 10 w N. 27 Tygodnika.

Fig. 14. Połowa płaszczyka (W, X, Y, Z).

Fig. 15. Połowa kapturka (W, Y, Z, * . +, ╳, 5 . 5).

Fig. 14-a—15-a. Zmniejszony rysunek płasko rozłożonej połowy płaszczyka.

N. V. Ubiór do kąpieli albo do pływania. (Majtki i bluza). Ryc. 8. w N. 27 Tygodnika.

Fig. 16. Połowa majtek (a, b, c, d, *, jedno załamanie formy).

Fig. 17. Przodek do bluzy (e, f, g).

Fig. 18. Połowa pleców (e, f, g,).

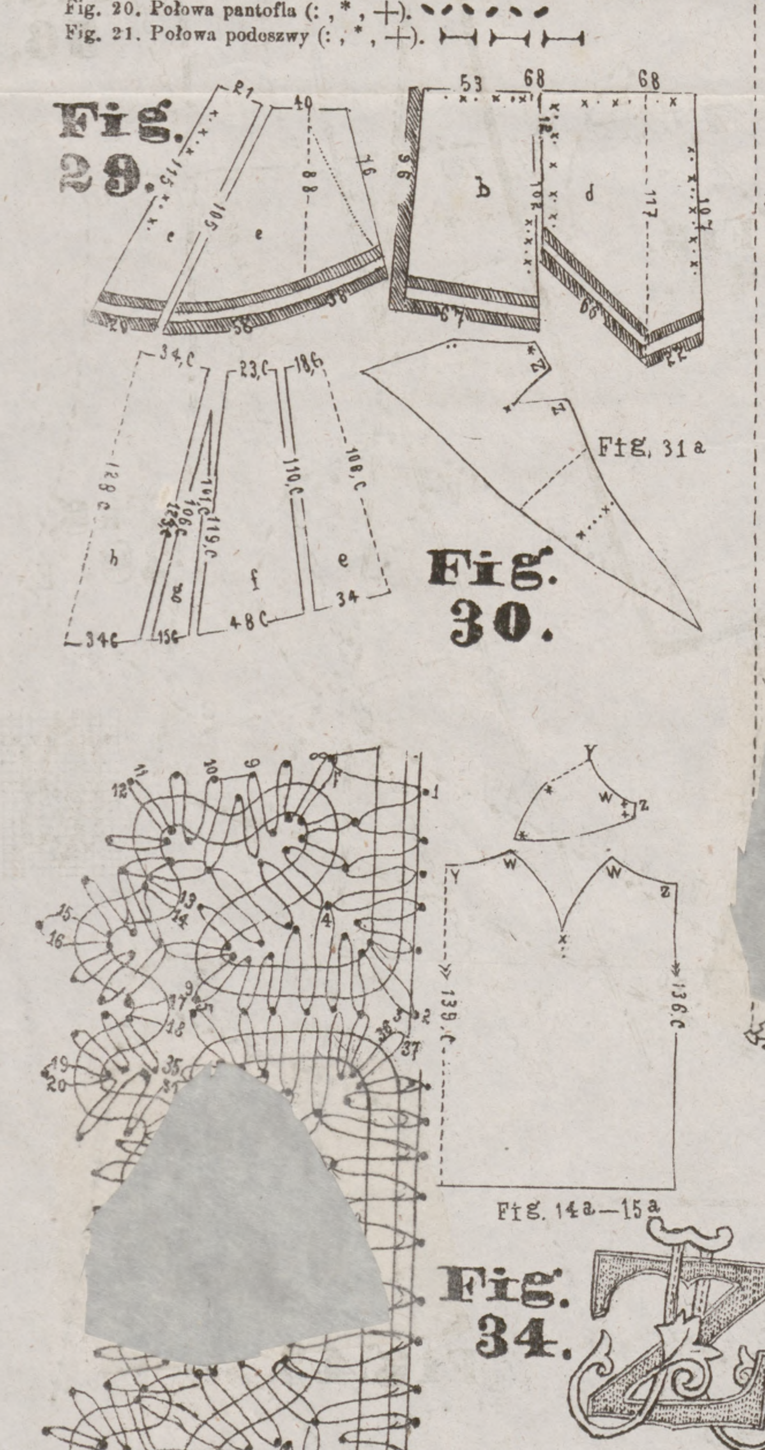
Fig. 19. Połowa rękawa (e, h). — × — × — ×

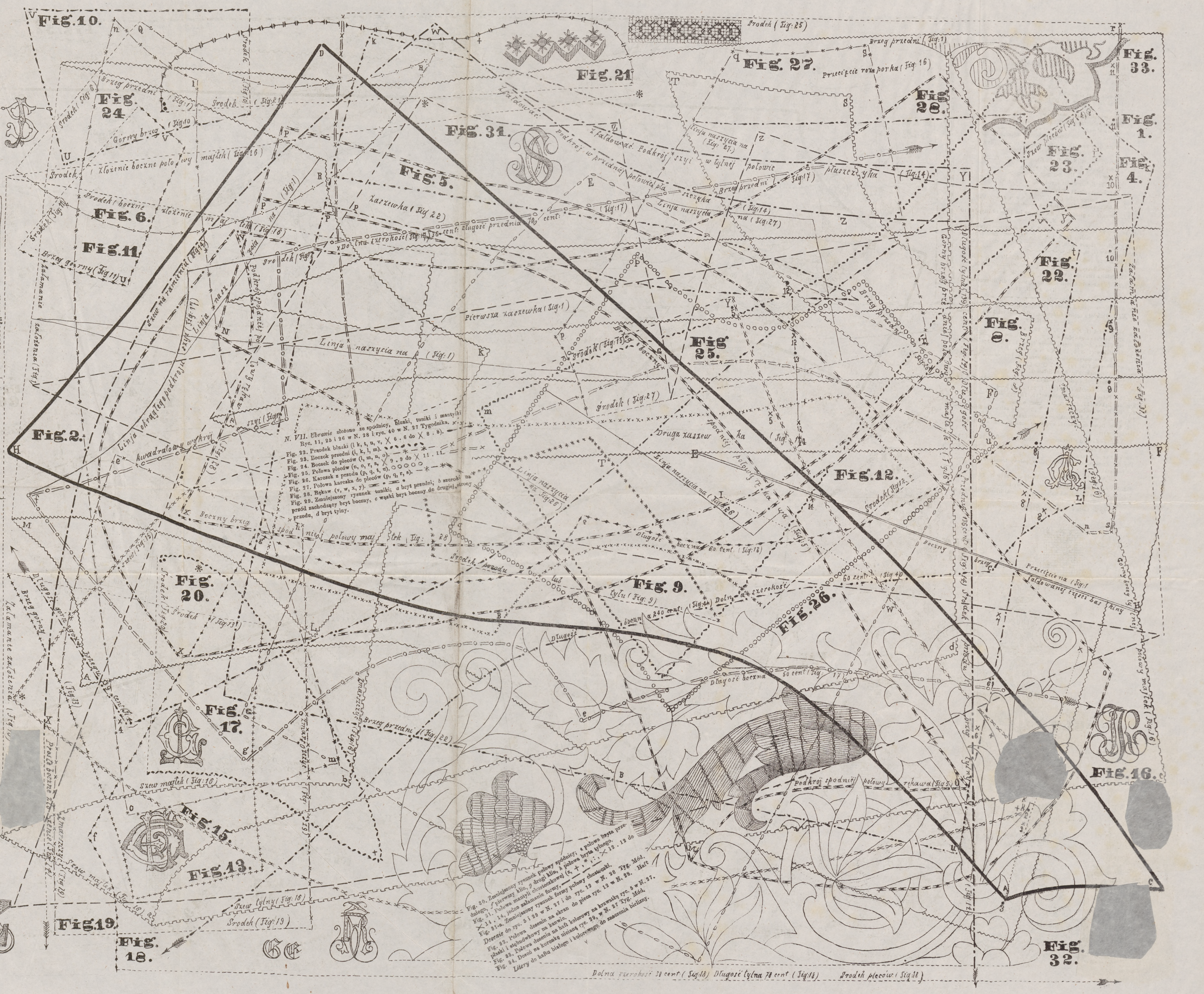
Fig. 19-a. Szlaczek do haftu, Fig. 19-b szlaczek na wstawkę wyszytą haftem krzyżykowym.

N. VI. Pantofel do kąpieli. Ryc. 7 w N. 27 Tygodnika Mód.

Fig. 20. Połowa pantofla (: , *, +).

Fig. 21. Połowa podeszwy (: , *, +).





N. VII. Ubranie złożone ze spódnicy, bluzki, tuniki i mantyliki Ryc. 11, 25 i 26 w N. 28 i ryc. 40 w N. 27 Tygodnika.

Fig. 22. Przodek bluzki (i k, t, u, v, ╳ 6 . 6 do ╳ 8 . 8).

Fig. 23. Boczek przedni (i, k, l, m).

Fig. 24. Boczek do pleców (l, m, n, o).

Fig. 25. Połowa pleców (n, o, r, s, ╳ 9 . 9 do ╳ 11 . 11.

Fig. 26. Karczek z przodu (p, q, t, u).

Fig. 27. Połowa karczka do pleców (p, q, r, s).

Fig. 28. Rękaw (v, w, x, y).

Fig. 29. Zmniejszony rysunek tuniki; *a* bryt przedni; *b* szeroki na przód zachodzący bryt boczny, *c* wązki bryt boczny do drugiej strony przodu, *d* bryt tylny.

Fig. 30. Zmniejszony rysunek połowy spódnicy; *a* połowa bryta przedniego, *f* pierwszy klin, *g* drugi klin, *h* połowa bryta tylnego.

Fig. 31. Połowa mantyli chusteczkowej (z, +, *, ; :, ╳ 12 . 12 do ╳ 14 . 14, jedno załamanie formy.

Fig. 31-a. Zmniejszony rysunek formy połowy chusteczki.

Desenie do ryc. 5 i 29 w N. 27 i do ryc. 12 w N. 28 Tyg. Mód.

Fig. 32. Połowa desenin na ekran do pieca ryc. 12 w N. 28. Haft płaski i stębnówkowy na kanwie.

Fig. 33. Połowa desenin na haft kolorowy na krawatkę ryc. 5 w N. 27.

Fig. 34. Deseń na koronkę nicianą ryc. 29, w N. 27 Tyg. Mód.

Litery do haftu białego i kolorowego do znaczenia bielizny.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. VIII. Ubranie dla dziewczynki lat 3—5, (paltocik z kamizelką i spódniczka fałdowana). Ryc. 4—5 w N. 28 Tygodnika.

Fig. 35. Część kamizelkowa (A, B, E, F, M).
Fig. 36. Przód do paltota (A, B, E, F, G, M, +, .).
Fig. 37. Pierwsza część pleców (A, B, C, E, F).
Fig. 38. Druga częśc pleców (C, D, E, L, *).
Fig. 39. Rękaw (G, H, I, K).
Fig. 40. Mankiet (H, K, :).
Fig. 41. Połowa kołnierza (L, M).
Fig. 42. Połowa kieszeni (+, .).
Fig. 43. Połowa wykładu do kieszeni (+, .).

N. IX. Bluza do gimnastyki, dla panienki lat 10—12. Ryc. 3 w N. 27 i 20 w N. 28 Tygodnika Mód.

Fig. 44. Połowa przodu (N, O, P, Q, R).
Fig. 45. Plecy (N, O, P, Q).
Fig. 46. Rękaw (R, S, T, U).

N. X. Rękawiczka ogrodowa, ryc. 4 w N. 27.

Fig. 47. Połowa rękawiczki (V, W, Y, Z, *, :, ,.).
Fig. 48. Połowa dużego palca (X, Y, Z, .).
Fig. 49. Połowa mankieta (*, :).

N. XI. Ubranie do gimnastyki, dla chłopca lat 10—12. Ryc. 6 i 19 w N. 28.

Fig. 50. Połowa majtek (a, b, c, d, e, f, jedno załamanie formy.
Fig. 51. Przód do żakiety (g, h, i, k l, :, *).
Fig. 52. Połowa pleców (g, h, i, k, *).
Fig. 53. Rękaw (l, m, n, o).

N. XII. Bluza ruska dla chłopców lat 4—6. Ryc. 22 w N. 28.

Fig. 54. Połowa bluzy, (p, q, r, s, t, *).
Fig. 55. Połowa klina do rękawa (p, q, s).

N. XIII. Ubranie do kąpieli albo do pływania, dla dziewczynki lat 8—10. Ryc. 9 w N. 27.

Fig. 56. Połowa majtek (u v, w, x).
Fig. 57. Połowa wyciętej bluzki (*, ., +, :).

N. XIV. Paletot z częścią fałdowaną, dla dzieci lat 2—4. Rycina 32—43 w N. 27.

Fig. 58. Przodek (1, 2, 5, 6, 7, 12, 13, 14).
Fig. 59. Pierwsza część pleców (1, 2, 3, 4, 6).
Fig. 60. Połowa drugiej części pleców (3, 4, 5, 11).
Fig. 61. Rękaw (7, 8, 9, 10).
Fig. 62. Połowa marynarskiego kołnierza (11, 12).
Fig. 63. Kieszeń (13, 14).
Fig. 63-a. Szlaczek. Fig. 63-b Szlaczek.

N. XV. Płaszczyk z pelerynką dla dzieci noszonych na ręku. Ryc. 34.

Fig. 64. Przód karczka (15, 16, 17, 22).
Fig. 65. Połowa karczka do pleców (15, 16, 21).
Fig. 66. Rękaw (17, 18, 19, 20).
Fig. 67. Połowa peleryny (21, 22, *, :, jedno załamanie formy.
Fig. 68-a. Deseń haftu płaskiego i sznureczkowego.
Fig. 68-b. Deseń do wyszycia sutaszem, sznureczkiem albo ściegiem łańcuszkowym.

N. XVI. Poduszka z trenem, dla niemowlęcia. Ryc. 39 w N. 27.

Fig. 69. Zmniejszony rysunek i miary połowy poduszki, *a* połowa poduszki, *b* część boczna.
Fig. 70. Zmniejszony rysunek i miara połowy trenu czyli przykrycie do poduszki.

N. XVII. Szalowa tunika do ryc. 28 w N. 28.

Fig. 71. Zmniejszony rysunek i miary połowy tuniki.
Fig. 72. Połowa deseniu na kołnierzyk z koronki irlandzkiej. Ryc. 33 w N. 28.

Litery do haftu i roboty krzyżykowej do znaczenia bielizny.



